

NATASZA SOCHA

*Czasem najbardziej
boli rany upokorzenia*

Ciećwierz

Grey
BOOK



NATASZA
SOCHA

Ciećwierz

Purple
BOOK
WYDAWNICTWO

Copyright © for the Polish Edition by Purple Book Wydawnictwo, Warszawa 2023
Copyright © by Natasza Socha, 2023

ISBN 978-83-8310-470-6

Purple Book Wydawnictwo
ul. Hankiewicza 2
02-103 Warszawa
facebook.com/purplebookwydawnictwo
instagram.com/purple_book_wydawnictwo
www.purplebook.com.pl

Dyrektor Zarządzająca: Iga Rembiszewska
Wydawca: Anna Kubalska
Produkcja: Klaudia Lis
Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska
Digital i projekty specjalne: Tatiana Drózdź
Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 601 457 030), Beata Trochonowicz (tel. 506 626 661)

Koordinacja projektu: Marta Kordyl
Redakcja: Joanna Kostyła
Korekta: Irena Piecha/e-DYTOR, Beata Wójcik
Projekt okładki, środka i stron tytułowych: Paweł Panczakiewicz PANCAKIEWICZ ART.DESIGN® –
www.panczakiewicz.pl
Zdjęcie Nataszy Sochy ©Najka Photography

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłączeniem zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Ciećwierz](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Epilog](#)

[Notka autorska](#)

Mikołaj Bora naprawdę kochał swoją żonę. Kiedy ją poznał, od razu wiedział, że to ta jedyna. Wcześniej takie określenia wydawały mu się głupie, bo niby skąd człowiek ma to wiedzieć? Przecież to niemożliwe, żeby zobaczyć kogoś i od razu mieć taką pewność. Ale tak właśnie się stało. Był z Florentyną szczęśliwy i tylko jedna rzecz spędzała mu sen z powiek – fakt, że ona nie chciała mieć dziecka. Co prawda nigdy tego nie powiedziała wprost, ale każdą sugestią, aby postarali się o potomka, odrzucała, odsuwając to na czas bliżej nieokreślony.

Nie teraz, za wcześniej, kiedyś o tym pomyślimy, są tysiące spraw, którymi muszę się najpierw zająć.

Tak naprawdę dla Florentyny ważniejsza była praca niż rodzina i Mikołaj w jakimś sensie to rozumiał. Sam też był policjantem i to takim, który lubił to, co robił. Poszukiwanie i łapanie przestępców dawało mu ogromną satysfakcję, zwłaszcza wtedy, kiedy zło zostało należycie ukarane. Pod tym względem rozumieli się z Florentyną doskonale. Ale po jakimś czasie zaczęło mu czegoś brakować.

Może śmiechu w domu?

Może chaosu?

Może czegoś więcej niż tylko akta sądowe, zdjęcia z miejsc zbrodni i psychologiczne portrety przestępców?

Owszem, to był ich świat, w którym oboje dobrze się poruszali, ale przecież obok tego wszystkiego, obok tego całego zła, w pewnym sensie przez nich dotkanego, istniało też inne życie. To, w którym człowiek automatycznie się uśmiechał.

Z całą pewnością nie planował romansu. Florentyna była dla niego kimś wyjątkowym i nigdy nie myślał o tym, żeby ją zdradzić. Gdyby ktoś go zapytał, jak to się stało, że kochając swoją żonę, jednocześnie zakochał się w innej kobiecie, chyba nie potrafiłby tego racjonalnie wytłumaczyć. Może był słaby? Może podatny? A może był po prostu dupkiem?

Polę poznał przypadkiem. Kiedy wychodził z kawiarni z kawą, ona właśnie do niej wchodziła. No i pech chciał, że wylał na nią całą zawartość papierowego kubka. Na szczęście miała na sobie kurtkę, ale i tak trochę poparzył jej dłonie. Kompletnie nie wiedział, jak się wytłumaczyć, przeproszał ją chyba ze sto razy, aż w końcu powiedziała mu, że to ciągle przeproszanie jest o wiele gorsze niż ból spowodowany oparzeniem, który dawno już minął. Roześmiał się wtedy, a potem zapatrzył w jej ciemne, skośne oczy. Była szczupłą brunetką o hipnotyzującym spojrzeniu. W ramach przeprosin zaprosił ją na latte, a ona to zaproszenie przyjęła.

Ktoś kiedyś powiedział, że największe romanse zaczynają się od kawy wypitej zupełnie przypadkowo. I tak właśnie było tym razem. Mikołaj nie planował widywania się z Polą, a jednak kiedy zaproponowała, żeby wymienili się numerami telefonów, jakoś nie potrafił odmówić. A potem brnął w to dalej. Ich spo-

tkania były nieregularne, widywali się raz na tydzień, czasem rzadziej, a jednak po każdym z nich Mikołaj miał ochotę na kolejne. Początkowo tylko ze sobą rozmawiali i trudno było to nazwać flirtem. Pola opowiadała o tym, że uwielbia tatuować ludzi, tworzyć na ich ciele sztukę, którą mieli nosić do końca życia. Była artystyczną duszą i to chyba Mikołajowi najbardziej się podobało. On z kolei mówił jej o swojej pracy i o tym, jak bardzo potrzebuje jakiejś równowagi. Spotykali się coraz częściej, on czasem urywał się z pracy, żeby z nią porozmawiać, ona nie mogła doczekać się jego telefonów. Pewnego dnia poprosiła, żeby do niej wpadł i pomógł zamontować lampę. W zasadzie to specjalnie kupiła nową, żeby mieć pretekst. Wtedy też po raz pierwszy się ze sobą przespali.

Trudno powiedzieć, w którym momencie Pola doszła do wniosku, że Mikołaj jest mężczyzną jej życia. Ich rozmowy, początkowo o wszystkim i o niczym, z czasem zoczyły w kierunku rodziny. Ona zapewniała go, że jej największym marzeniem jest posiadanie dzieci, zabawy z nimi, przyczepianie kolorowych rysunków na lodówkę, poranne kłótnie o to, czy płatki je się z ciepłym, czy zimnym mlekiem, ślady po paście do zębów na lustrze i wszystkie te rzeczy, które wiążą się z wychowywaniem potomstwa. Mikołaj był zachwycony. Kiedy jej słuchał, uśmiechał się, a czasem nawet zamykał oczy i wyobrażał sobie siebie w roli ojca.

Czy zakochał się w Poli tak samo mocno jak we Florentynie? Nie umiałby na to pytanie odpowiedzieć, ale prawda była taka, że coraz częściej myślał o tej dziewczynie i zastanawiał się, jak pogodzić swoje dwa życia. Pola mówiła mu, że niczego od niego nie chce, że nie oczekuje rozvodu ani podejmowania jakichkolwiek decyzji. Chce po prostu z nim być i urodzić mu dziecko. Mikołaj czuł, że to, co robi, jest złe, jest niesprawiedliwe w stosunku do żony, ale kompletnie nie wiedział, jak ten problem rozwiązać.

Kłopot polegał na tym, że kiedy był w domu z Florentyną, liczyła się tylko ona. Chciał wynagrodzić jej ten swój niepotrzebny romans, a potem zapomnieć o wszystkim i dalej żyć jak wcześniej. Ale kiedy potem spotykał się z Polą, niczego nie był już pewien. Coś go do niej ciągnęło, a świadomość, że mógłby zostać ojcem, potwornie go kręciła.

Tamtego dnia zapowiadali piękną, jesienną pogodę.

- Za dużo pracujesz, Flo - powiedział Mikołaj, kiedy rano przyłapał swoją żonę w kuchni na robieniu notatek.

Zgrzytnęła zębami.

- Mikołaj, w tej pracy nie ma takiego pojęcia jak „za dużo” i sam wiesz o tym najlepiej. Nie można mniej pracować, kiedy masz trupa. Nie możesz powiedzieć sobie - okej, trup poczeka, a ja teraz wybiorę się do spa na masaż balijski.

- Trup akurat może poczekać - zauważył spokojnie.

Zaczerwieniła się.

– Ale jego rodzina już nie. Każdy chce wiedzieć co i dlaczego. I kiedy złapiemy mordercę. Serio, tobie muszę to tłumaczyć? Przecież jesteś policjantem.

Mikołaj usiadł naprzeciwko niej i chwycił ją za dłonie.

Wyrwała je, bo była zła.

A potem znowu pomyślał o dziecku.

Wyszedł z domu i spojrzał w niebo. Świeciło słońce, było przyjemnie ciepło. A przed nim krótka wyprawa z Wrocławia do Oleśnicy, gdzie miał przeprowadzić rekrutację w tamtejszej Komendzie Powiatowej. Szef go o to poprosił, więc trudno było się nie zgodzić, chociaż akurat dzisiaj Mikołaj najchętniej zostałby w domu i poważnie porozmawiał z żoną. Kiedy wsiadał do samochodu, zadzwoniła Pola.

– Gdzie jesteś? – spytała.

– Wybieram się do Oleśnicy.

– Mogę jechać z tobą?

Zastanowił się przez moment. W zasadzie nic nie stało na przeszkodzie, chociaż miał ochotę na chwilę samotności. Ale może Pola poprawi mu nastrój?

– Okej, będę u ciebie za kwadrans.

Rozłączył się, a kiedy kilka sekund później znowu usłyszał dźwięk wibrującej komórki, uśmiechnął się pod nosem.

– O czymś zapomniałaś? – zapytał, nawet nie zerkając na wyświetlacz.

– Tu Kacper. – Mikołaj usłyszał głos brata swojej żony.

Zesztywniał.

– Sorry, myślałem, że to Flo.

– Chciałbym się z tobą spotkać.

– Po co? – zdziwił się Mikołaj. Głos Kacpra był jakiś inny. Zupełnie jakby szwagier o coś miał do niego pretensję.

– Chyba potrzebuję wyjaśnienia, dlaczego zdradzasz moją siostrę.

Mikołaj poczuł gwałtowny ucisk w żołądku. Aż zacisnął zęby z bólu.

– Kacper...

– Nie, nie próbuj się wykręcać. Widziałem cię kiedyś w kawiarni z jakąś dziewczyną. Chciałem nawet podejść i się przywitać, ale ty nagle chwyciłaś ją za rękę i pocałowałaś. Pomyślałem, że to jakieś nieporozumienie, i uznałem, że lepiej będzie o tym zapomnieć. A potem zobaczyłem cię z nią raz jeszcze w Parku Tołpy. Cudowny widok, kiedy razem karmiliście kaczuszki. Rozumiem, że Flo wie o wszystkim?

– Kacper... nie mogę dzisiaj z tobą rozmawiać, ale obiecuję, że ci to wyjaśnię.

– Dzisiaj, teraz.

Mikołaj sam nie wiedział, dlaczego to zrobił, ale po prostu się rozłączył. Musiał wszystko na spokojnie przemyśleć, zastanowić się, co powiedzieć Kac-

prowi i jak się do tej rozmowy przygotować. Kiedy Pola wsiadła do jego samochodu, uśmiechnęła się z dużym wysiłkiem.

– Co jest? – Od razu wyczuła jego dziwny nastrój.

– Może jednak zostałaś dzisiaj w domu? Muszę coś jeszcze załatwić, nie wiem, ile to potrwa.

Pola zmarszczyła czoło.

– Coś się stało?

– Nie, po prostu czasem tak jest w mojej pracy. Miała być tylko rekrutacja, ale wpadło po drodze coś jeszcze.

– Mam czas. Jadę z tobą – odparła dziewczyna.

Mikołaj spuścił głowę. Wtedy dotarło do niego, że nie może tego dłużej ciągnąć.

Musiał zrobić ostre cięcie, ale w tej chwili nie potrafił. Nie chciał teraz kłócić się z Polą, nie chciał doprowadzić do tego, żeby wpadła we wściekłość, bo wtedy byłby zagrożony z obu stron.

Poczuł się jak w jakiejś cholernej pułapce, z której nie potrafił się wydostać.

– Dobrze, to jedźmy, może coś zjemy po drodze, pogadamy, ale potem, Pola...
– Zawiesił głos.

Dziewczyna zacisnęła pięści.

– A potem, Pola, nasze drogi się rozejdą, tak? Myślisz, że jestem głupia? Przecież widzę, że coś się dzieje, a ty mi ściemniasz, że masz jakieś dodatkowe obowiązki. Nie bądź tchórzem.

Mikołaj odwrócił głowę.

Najbardziej przerażał go fakt, że nie potrafił sam podjąć decyzji. Że ktoś robił to za niego, zmuszał, dociskał. Z jednej strony Kacper, z drugiej Pola. A on sam, Mikołaj, nie miał nic do powiedzenia. Parszywie się z tym czuł. Jak człowiek słaby, który nie potrafi stawić czoła temu, w co sam się wpakował.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu, Pola odwróciła głowę i chyba drzemiała na siedzeniu obok. Może to i lepiej.

Nagle po raz kolejny zawibrowała jego komórka.

Kacper.

Cholera, trzeba to jakoś załagodzić.

– Kacper, sorry, ale dzisiaj nie dam rady. Mam urwanie głowy w pracy.

– A to ciekawe, bo jadę za tobą i z tego, co się orientuję, zmierzasz w stronę Oleśnicy. Pytanie tylko, kto siedzi obok ciebie?

Mikołaj poczuł, jak zaczyna się pocić, a jego serce coraz mocniej tłucze się w piersiach.

– Kacper, ja ci to wszystko wyjaśnię, ale nie dzisiaj.

– Masz jechać do Zajazdu pod Kogutem, to niedaleko stąd, bez żadnych sztuczek, jestem tuż za tobą, więc będę widział każdy twój ruch.

To, co wydarzyło się potem, trwało sekundę. Zdesperowany Mikołaj nagle ostro zahamował i zawrócił. Kacper próbował mu na to nie pozwolić, więc zjechał mu drogę. A Mikołaj, aby uniknąć zderzenia, odbił w prawo. I wjechał prosto w drzewo.

Zginął na miejscu.

Pola miała drobne obrażenia, ale tak naprawdę nic jej się nie stało. Była w szoku.

Słyszała jednak całą rozmowę Mikołaja z Kacprem, dotarło też do niej, że brat Florentyny niemal siedział im na ogonie. Na dodatek, gdy uderzyli w drzewo, nie zatrzymał się, tylko pojechał dalej. Zapamiętała markę samochodu. Obiecała sobie, że odnajdzie tego skurwysyna i zrobi wszystko, żeby zapłacił za tę zbrodnię. Do tego jednak potrzebny był plan. Uciekła z miejsca wypadku, zanim przyjechała policja. Nie chciała być z tym powiązana, wtedy nikt o nic nie będzie jej podejrzewał.

ROZDZIAŁ

1

Florentyna otworzyła bombonierkę i uważnie przyjrzała się czekoladkom. To była wersja limitowana i każda pralinka smakowała inaczej. Sięgnęła po pierwszą z prawej strony i przegryzła ją na pół. Przełknęła, a potem wybrała kolejną. Zjadła ich około ośmiu, ale tak naprawdę nie potrafiła powiedzieć, jaki miały smak. Możliwe, że były orzechowe, karmelowe, wiśniowe, z dodatkiem koniaku, a nawet z kawałkami ananasa. Tak przynajmniej wynikało z opisu, ale ona nie mogła tego potwierdzić. Dostała je w prezencie od swojej grupy śledczej, której pewnie wydawało się, że słodczyce rozwiążą jakoś jej problemy.

Pudło.

Mniej więcej od dwóch miesięcy nie czuła nic. Nie wiedziała, czy jest ciepło, czy zimno, jak smakują czekoladki czy chociażby chleb. Nie zauważyła, że powoli miasto zaczęło szykować się do świąt Bożego Narodzenia i że pod koniec listopada spadł pierwszy śnieg. Nie do końca była pewna, czy pije kawę, czy herbatę, czy może jednak zwykłą wodę. A czasem nie wiedziała nawet, czy jest noc, czy dzień.

Florentyna cierpiała na stępienie zmysłów. I nie było to spowodowane chorobą, tylko potwornym rozczarowaniem i żalem, że przeszłość okazała się zupełnie inna, niż myślała. Do tej pory wydawało jej się, że związek z Mikołajem był idealny. Oczywiście, kłócili się i nie zawsze we wszystkim się zgadzali. Ale to chyba było normalne. A jednak myśleli, że są dla siebie stworzeni. Patrzyli przecież w tym samym kierunku, lubili te same rzeczy. I chcieli dla siebie podobnego życia. Z tą jedną małą różnicą, że Florentyna nie potrafiła zdecydować się na dziecko, a Mikołaj coraz częściej na to nalegał.

Czy właśnie dlatego znalazł sobie kochankę? Czy właśnie dlatego postanowił zniszczyć ich związek i spróbować szczęścia gdzie indziej? Najbardziej przerażała ją fakt, że niczego się nie domyśliła. Nie miała nawet cienia podejrzenia, że Mikołaj prowadzi dwa życia. Była przekonana, że kochają tylko siebie i tylko sobie patrzą głęboko w oczy. To, czego niedawno dowiedziała się od Poli o swoim zmarłym mężu, było tak wstrząsające, że przez kilka pierwszych dni nie była w stanie z nikim na ten temat rozmawiać. Nawet z Kacprem, który wyszedł już ze szpitala. Florentyna nadal nie mogła uwierzyć, że kobieta, z którą spotykał się jej brat, próbowała go zabić. Zmieszała jego leki antydepresyjne, podwoiła

dawkę i zaserwowała jej z alkoholem. Kacper w stanie krytycznym trafił na OIOM, a wszystko dzięki szybkiej interwencji sąsiadki, która zauważyła otwarte drzwi do jego mieszkania, weszła do środka i znalazła nieprzytomnego mężczyznę. Gdyby nie ona, kto wie, czy plan Poli nie powiodłby się w stu procentach.

Każdego wieczoru Florentyna łykała silne leki nasenne, mając nadzieję, że prześpi ten najgorszy okres, a kiedy się obudzi, to wszystko albo okaże się jedną wielką pomyłką, albo przynajmniej przestanie tak bardzo boleć.

Do niczego takiego jednak nie doszło.

Dzisiaj była już mądrzejsza o wiedzę dotyczącą jej przeszłości. Wiedziała, kim była Pola i jaki udział miał Kacper w wypadku Mikołaja. Tyle że tego wszystkiego było po prostu za dużo. Florentyna czuła się zdradzona przez najbliższe jej osoby i zupełnie nie potrafiła sobie z tym poradzić. Jej bólu nie ukoili nawet fakt, że Pola została oskarżona o próbę zabójstwa.

Było jej wszystko jedno, czy dostanie zgodę na urlop, po prostu pewnego dnia położyła wniosek na biurku szefa i powiedziała, że przez najbliższych kilka tygodni nie zjawi się w pracy. Zamknęła się w sobie, siedziała w swoich czterech ścianach i próbowała jakoś przetrwać. Dwa razy była u niej Monika Kulm, ale niewiele udało jej się zdziałać. Za pierwszym razem Florentyna nawet nie otworzyła drzwi. Za drugim niechętnie wpuściła ją do środka.

– Hej, ja chyba wiem, jak się czujesz, ale może pora już wrócić do świata żywych? – spytała aspirantka sztabowa, patrząc w puste oczy swojej przełożonej.

Ale Florentyna tylko pokręciła przecząco głową.

– Nie mam ochoty na żadną pracę, tak naprawdę nie mam ochoty zupełnie na nic. Ale nie martw się, nie popełnię samobójstwa, chyba jestem na to zbyt silna. Skoro nie zrobiłam tego po śmierci Mikołaja, to tym bardziej nie zrobię tego teraz, kiedy wiem, że wszystko, co brałam za pewnik, okazało się jedną wielką wydmuszką.

Monika nie chciała dopytywać o szczegóły, co nieco obilo jej się o uszy, ale doskonale wiedziała, że jakakolwiek rozmowa na ten temat nie ma teraz sensu. Bardziej zależało jej na tym, żeby Florentyna znowu zjawiała się na komendzie, w tych swoich różowych ubraniach i z różowymi paznokciami, i zdecydowanym, choć miłym tonem żądała szybkiej i efektywnej roboty. Niech nawet mówi do nich myszko i kaczuszko, pal licha. Ale niech się w końcu ocknie z tego letargu.

– Mamy zabójstwo starszej kobiety i jej przyjaciółki. I powiem ci szczerze, że nie wiemy, jak się do tego zabrać. Zostały znalezione w piwnicy, obie miały bardzo dużo obrażeń od ciężkich przedmiotów. Sprawę zgłosił syn jednej z nich, ale dopiero po kilku dniach, bo w momencie zabójstwa przebywał w innym mieście. Mamy trochę zaczętych wątków, ale tak naprawdę najbardziej potrzebna

jest tam twoja ocena sytuacji – próbowała jakoś zachęcić Florentynę do podjęcia tematu.

Ale policjantka śledcza tylko wzruszyła ramionami.

– Jakoś mnie to nie wciąga. Nie mam chwilowo ochoty na poszukiwanie mordercy, poza tym jestem przekonana, że poradzicie sobie beze mnie.

Monika zacisnęła pięści. W jakimś sensie rozumiała Florentynę, chociaż ona sama wychodziła z założenia, że człowiek nawet w obliczu największych przeciwności losu powinien iść do przodu. Tylko w ten sposób można było wygrać. Florentyna zawsze wydawała jej się wyjątkowo twardą i silną kobietą, bez względu na kolor ubrań, jakie nosiła. Była stanowcza, wiedziała, czego chce i tak naprawdę zawsze miała rację. Zupełnie nie przejmowała się tym, co o niej mówiono i jak bardzo śmiano się z jej daru prekognicji, dzięki któremu rozwiązywała kryminalne zagadki. Wszystkie śledztwa, które prowadziła, kończyły się sukcesem, a przecież to było chyba w tej pracy najważniejsze.

Monika chrząknęła.

Nie podobało jej się, że patrzyła teraz na kogoś zupełnie pozbawionego emocji i chęci do życia. To nie była ta Florentyna, którą znała. Monika też miała różne doświadczenia z facetami i nie wszystkie były udane, ale mimo to nie poddawała się i nie robiła z tego życiowego dramatu. Po prostu dochodziła do wniosku, że do tej pory trafiała na samych dupków, co wcale jeszcze nie znaczyło, iż musiało tak być do końca życia. A nawet jeśli, to co? Czy tylko po to człowiek żyje?

– Nie przekreślaj siebie samej tylko dlatego, że ktoś okazał się świnią. Nie chcę oczywiście brzmieć jak jakiś domorosły psycholog, ale sama pewnie dobrze wiesz, że to porażki powodują, iż stajemy się silniejsi.

Florentyna parsknęła śmiechem.

– To w tym przypadku coś chyba nie wyszło. Wyobraź sobie, że po tym wszystkim, co usłyszałam, jakoś nie poczułam się silniejsza, a wręcz przeciwnie. Wydaje mi się, że byłam zbudowana ze szkła, może i twardego, ale jednak szkła. Ktoś zrzucił mnie z dużej wysokości, a wtedy mogło stać się tylko jedno, prawda? Szkło rozprysło się na setki drobnych kawałków.

Monika wzruszyła ramionami.

– No i co? I nie da się już tego posklejać?

Florentyna odwróciła się do niej plecami.

– Pytanie raczej brzmi, czy ja chcę być z powrotem posklejana. Może pasują mi te rozsypane kawałki, może wcale nie muszę stawiać na nogi.

Monika wyjęła z siatki, którą ze sobą przyniosła, niewielki plastikowy pojemnik.

– W środku są pierogi z kapustą i grzybami. Robiła je moja mama, więc mogę tylko zaręczyć, że są pyszne. Podejrzewam, że niewiele jesz, a jeżeli już, to pewnie jakieś świństwa. To dzisiaj zjedz pierogi, dobra?

Florentyna otworzyła pojemnik dwa dni później, ale w dalszym ciągu nie poczuła ani smaku, ani zapachu.

*

Prokurator Florian Mączyński również próbował się skontaktować ze śledczą Borą, ale bezskutecznie. Florentyna nie odbierała od niego telefonów, nie odpowiadała na e-maile. Zastanawiał się, czy nie powinien jej odwiedzić, obawiał się jednak, że nie otworzy mu drzwi. Nie do końca wiedział, co ją spotkało, ale wyczuwał, że musiało ją to wyjątkowo zboleć. Domyślał się jedynie, o co mogło chodzić, ostatecznie przeżył coś podobnego. Kilka lat temu zostawiła go żona i wtedy również wydawało mu się, że życie nie ma sensu. A jednak toczyło się dalej, bez względu na to, co myślał Mączyński i jak bardzo czuł się zagubiony. Z perspektywy tych kilku lat mógł powiedzieć, że człowiek co prawda nigdy nie zapomina bólu, który ktoś mu zadał, ale mimo wszystko potrafi z ranami żyć dalej. I nawet się uśmiechać.

Siedział teraz w swoim gabinecie i nagle zerknął na Lulę, buldoga francuskiego, z którym jakiś czas temu Florentyna spędziła kilka dni.

– Możliwe, że ty możesz pomóc – odezwał się po chwili, mrużąc oczy.

Zrobił Luli zabawne zdjęcie, a potem wysłał je policjantce. Dopisał też, że znowu musi wyjechać na dwa dni, a sytuacja jest o tyle podbramkowa, że osoba, która do tej pory zajmowała się Lulą, nie jest już brana pod uwagę. A wszystko z tego względu, że sama teraz posiada psa, który absolutnie nie toleruje prokuratorowskiego buldoga. To nie była prawda, ale Mączyński doszedł do wniosku, że takie kłamstwo jest absolutnie dozwolone.

Florentyna odczytała wiadomość kilka godzin później. Początkowo chciała ją skasować, jak wszystkie poprzednie, ale coś kazało jej zatrzymać wzrok na roześmianym pysku Luli i samej przez to odrobinę się uśmiechnąć. Ostatecznie pies nie był niczemu winien. Chyba może się nim zająć, przecież całkiem dobrze się ostatnio dogadywały.

Wybrała numer Mączyńskiego, który odezwał się już po pierwszym sygnale.

– Florentyna? Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że oddzwoniasz.

– Nie mam siły, żeby rozmawiać, ale jeżeli to faktycznie takie pilne, to przywieź Lulę dzisiaj wieczorem – powiedziała policjantka, a potem się rozłączyła.

Mączyński szeroko się uśmiechnął. To mogło nie znaczyć jeszcze nic, ale mogło też bardzo dużo. Może po tych paru tygodniach, a nawet miesiącach zamknięcia się w sobie, dostrzeże jednak jakieś maleńkie światełko i będzie chciała wrócić do pracy? Mączyński podobnie jak Monika był przekonany, że tylko nowe śledztwo będzie w stanie wyciągnąć Florentynę z marazmu i zmusić do czegoś więcej, niż tylko patrzenie na pustą ścianę.

Nawet jeżeli była ona pomalowana na różowy kolor.

ROZDZIAŁ

2

Florentyna pojawiła się na komendzie we wtorek o godzinie dziewiątej rano. Jej wejście zrobiło gigantyczne wrażenie niemal na wszystkich pracownikach policji. Ale nie dlatego, że w końcu wróciła po paru tygodniach przerwy, zdecydowanie większym wstrząsem okazał się jej ubiór. Słysnęła z tego, że nosiła wyłącznie odważne kolory, wśród których dominował róż. Nikt oczywiście nie wiedział, że właśnie w ten sposób walczyła z demonami i próbowała pokolorować swój świat, żeby całkowicie nie pograżyć się w rozpacz po śmierci męża. Wybierała więc różowe spódnice, pudrowe swetry, spodnie w kolorze fuksji i całe mnóstwo cukierkowych dodatków. A dzisiaj przyszła do pracy ubrana na czarno.

Miała na sobie ciemne spodnie, czarny sweter i czarne buty. Zrezygnowała też z makijażu, a włosy byle jak ściągnęła gumką. To nie była Florentyna, do której przyzwyczajeni byli policjanci Komendy Głównej w Poznaniu. I chociaż wcześniej podśmiewali się z jej wyglądu, przewracając oczami na widok nadmiaru różu, to jednak teraz jakoś nie było im do śmiechu. Kiedy Monika zobaczyła Florentynę na korytarzu, poczuła silne ukłucie w brzuchu, zupełnie jakby zjadła coś ciężkostrawnego. To raczej ona należała do tych, które ubierały się na czarno i szaro, i to głównie ona nie cierpiała różowatości swojej przełożonej. A jednak to, co zobaczyła teraz, wcale jej się nie spodobało.

– O Jezu, nawet nie wiesz, jak dobrze, że cię widzę – powiedziała tylko i posłała Florentynie niepewny uśmiech.

Policjantka nie zareagowała.

– Jesteś na czarno, wiesz? Nie masz na sobie nawet grama różu – wyrwało się Monice.

Florentyna podniosła na nią wzrok.

– A to cię martwi? Bo dla mnie przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Albo może wręcz przeciwnie – w tych wszystkich kolorowych rzeczach wcale nie czuję już się dobrze. Może to minie, a może tak już zostanie. Kiedy otworzyłam wczoraj szafę, aż rozboleły mnie oczy od patrzenia na moje ciuchy. Dlatego poszłam do najbliższego sklepu i kupiłam to, co mam na sobie. I wiesz co? W dupie to mam. W dupie mam, jak wyglądam, czy jestem różowa, zielona, czy

niebieska. Nie wiem nawet, co jem. Coś się jednak zmieniło, bo po spacerze z Lulą doszłam do wniosku, że już nie chce mi się siedzieć w domu.

– Z Lulą? – powtórzyła Monika.

– To buldożka francuska. Należy do prokuratora Mączyńskiego, który poprosił mnie, żebym się nią zajęła przez kilka dni. I nawet jeżeli zrobił to celowo, to plan najwyraźniej się udał, bo to właśnie Lula wyciągnęła mnie z domu.

– To dobrze. – Monika uniosła w górę kciuk. – I pewnie to, co teraz powiem, wyda ci się okropnie głupie, ale chyba wolę cię w słodkich kolorach – dodała, marszcząc czoło. – Ale spoko. Czarny też jest okej.

Florentyna nie odpowiedziała.

– Jeżeli macie jakąś sprawę, nad którą obecnie siedzicie, to zarządzam spotkanie w moim biurze. Macie kwadrans. Przygotujcie się, przynieście notatki i zaczynamy. I nie wracajmy więcej do tematu moich ciuchów ani tego, w jakim kolorze jest mi najładniej. To nie wasza sprawa. Aha, dzięki za pierogi. Myślę, że były dobre, chociaż nadal nie mam smaku.

Florentyna nie musiała czekać tych piętnastu minut, chociaż zazwyczaj jej grupa dochodzeniowa chętnie się spóźniała. Zwłaszcza Marcin Miłoch, starszy aspirant. Tym razem jednak zjawili się punktualnie, jakby nie chcieli przysparzać jej dodatkowych zmartwień. To nie było normalne zachowanie i doskonale o tym wiedziała, ale na razie nie miała siły, żeby opieprzyć ich za to, iż traktują ją jak ciężko chorą.

– Co mamy?

– Zabójstwo dwóch staruszek. Pierwsza z nich to Zofia Pella, lat osiemdziesiąt jeden, a druga to jej przyjaciółka Kordelia Czaplinska, lat osiemdziesiąt dwa. Obie znalezione w jednej ze starych willi na Sołacz, w piwnicy. Zamordowane tęnym narzędziem, liczne rany od uderzeń, a w przypadku Zofii Peli dodatkowo rany klute. Technicy zabezpieczyli ślady w domu, wszędzie bowiem panuje bałagan, istnieje zatem podejrzenie, że doszło do kradzieży cennych rzeczy.

– Kto znalazł ciała? – spytała Florentyna.

– Syn zamordowanej. Na co dzień z nią nie mieszkał, ale dosyć często ją odwiedzał, właśnie ze względu na jej wiek. W dniu morderstwa przebywał wraz ze swoją przyjaciółką nad morzem, w Sarbinowie. Kiedy wrócił do Poznania i nie mógł skontaktować się ze swoją matką, przyszedł do niej do domu.

– Dzwonił do niej również podczas swojego pobytu nad morzem?

– Twierdzi, że rozmawiał z nią w dniu wyjazdu, potem dzwonił dwa dni później, ale nie odbierała. Nie zastanowiło go to jednak, bowiem matka często zostawiała telefon w różnych miejscach i miała wyciszony dzwonek. Nad morze wybrał się tylko na krótki wypad, właśnie ze względu na matkę. Nigdy nie zostawił jej na dłużej niż kilka dni. Teraz jest w ciężkim stanie, ponieważ czuje się winny, że ją zostawił. W drodze powrotnej do Poznania cały czas do niej dzwonił, ale ponieważ nadal nie odbierała, postanowił, że od razu do niej pojedzie.

Drzwi wejściowe nie były zamknięte, co już wzbudziło jego podejrzenia. Kiedy wszedł do środka, zobaczył bałagan i porozrzucane rzeczy. Zadzwoił po policję, zanim jeszcze zaczął szukać matki, ale kiedy przyjechaliśmy na miejsce, okazało się, że już ją znalazł. A przy okazji jej przyjaciółkę. Obie kobiety, tak jak już wspominałam, zostały zamordowane, a ich ciała leżały w piwnicy w kałuży krwi.

– Są jacyś podejrzani? Jakiegokolwiek poszlaki? Co tak naprawdę mamy?

– To jest dom wolnostojący, otoczony dosyć dużym ogrodem, dlatego sąsiedzi niczego nie widzieli ani nie słyszeli. Przynajmniej tak twierdzą. Przepytalem tych mieszkających po prawej i po lewej stronie, mam szczegółowe notatki, ale nic szczególnego nie przykuło ich uwagi. Oczywiście są przerażeni i przekonani, że to jakiś włamywacz, który szukał szybkiego łupu, ale ponieważ natknął się na dwie starsze osoby, to bez skrupułów je zabił – powiedział Marcin.

– Czy syn wie, co zginęło z domu?

– Na razie ciężko nawiązać z nim jakiegokolwiek kontakt. Wydaje mi się, że jest trochę opóźniony w rozwoju, chociaż możliwe, że to złe określenie. Po prostu sprawia wrażenie, jakby wolniej myślał i potrzebował dużo czasu, żeby zrozumieć, o co pytamy, a potem skonstruować w miarę sensowną odpowiedź. Facet ma na imię Franciszek i ma pięćdziesiąt cztery lata, ale mówi o sobie Franiu. Na dodatek w trzeciej osobie – Franiu niepotrzebnie pojechał nad morze, to Franiu jest wszystkiemu winny – wyjaśniła Monika.

– Sprawdziliście, czym się zajmuje?

Najmłodszy z policjantów, sierżant sztabowy Antoni Malański, skinął potakująco głową.

– Pracuje jako teleankieter w niewielkiej firmie pod Poznaniem.

– Ale wspominaliście, że może być upośledzony, czy to nie przeszkadza mu w tego rodzaju pracy?

Monika zaprzeczyła.

– Wyobraź sobie, że nie, dotarłam nawet do jego pracodawcy, który powiedział mi, że Franciszek Pela jest jednym z lepszych pracowników w jego firmie, głównie ze względu na swoje opanowanie i spokój. Nigdy nie podnosi głosu, nie denerwuje się, tylko zawsze wysłuchuje klienta, nawet jeśli ten ma jakieś nieprzyjemne uwagi. Ta praca polega na tym, że ciągle przeprowadzasz niemal identyczne rozmowy, co wielu osobom wydaje się po prostu nudne. Tymczasem Pela za każdym razem podchodzi do tego jak do czegoś nowego, ciekawego i nie sprawia mu problemu to, że musi się powtarzać. Nie przeszkadza mu również fakt, że bardzo często trafia do negatywnie nastawionych respondentów, którzy nie mają najmniejszej ochoty na odpowiadanie na pytania, niektórzy z nich rzucają więc słuchawką, a inni po prostu wyładowują swoją złość na nim.

– Okej, brzmi nawet sensownie. A ta naręczona czy też przyjaciółka, z którą był nad morzem?

– O niej jeszcze zbyt wiele nie wiemy. Nie kontaktowaliśmy się z nią. Ale dlaczego skupiasz się głównie na nim? – zainteresowała się Monika.

Florentyna podparła brodę dłońmi.

– W przypadku tego rodzaju zbrodni w pierwszej kolejności podejrzenie pada na najbliższych członków rodziny. Wiesz o tym doskonale. I to, co wydaje ci się mało prawdopodobne, nagle okazuje się strzałem w dziesiątkę. Nie mówię, że tak jest w tym przypadku, ale zacząłabym od bardzo dokładnego prześwietlenia syna, zanim ruszymy dalej.

Monika skinęła głową.

– No tak, tyle że on ma alibi. Facet faktycznie był nad morzem, a jego rozpacz czy też może jakiś przerażający smutek, nie wydają mi się udawane. Ale masz rację, to jeszcze o niczym nie świadczy.

Florentyna uśmiechnęła się w myślach. Monika rzadko kiedy publicznie przyznawała jej rację. Zawsze była raczej powściągliwa. Widocznie brak różu tak dziwnie na nią wpływał.

– Oczywiście bardzo prawdopodobne jest również to, że faktycznie chodziło o kradzież z włamaniem, a mordercą okaże się zupełnie przypadkowa osoba. Niemniej jednak musimy prześwietlić przeszłość Zofii Peli i dowiedzieć się o niej absolutnie wszystkiego. Podobnie jak o jej przyjaciółce. Z kim się przyjaźniły, z kim się najczęściej kontaktowały, do jakiego fryzjera chodziły, jakie były ich ulubione sklepy, czy należały do jakichś kółek, nie wiem – spotykały się na wspólnym czytaniu książek czy też dzierganiu szalików, cokolwiek. Bardzo ważne są ich kontakty z innymi ludźmi. I jeszcze jedno. Czy pani Zofia była bogata?

Marcin potwierdził.

– Tak nam się wydaje. W domu znajduje się dużo starych mebli, moim zdaniem to antyki, na ścianach wiszą ogromne obrazy, co prawda ja się na tym nie znam, ale same ramy wyglądają na bardzo drogie. Dużo rzeczy było powyrzucanych z szuflad, dlatego trudno nam powiedzieć, czy coś zginęło, ale tak to wygląda. Możliwe, że złodziej szukał biżuterii albo jakichś innych cennych przedmiotów. Syn na razie niczego jeszcze nam nie powiedział.

– Dlatego musimy koniecznie ustalić, z kim Zofia Pela utrzymywała znajomości. Była starszą kobietą, miała niepełnosprawnego umysłowo syna, więc mogła okazać się łatwym łupem dla kogoś z zewnątrz. Mówiliście, że nie było śladów włamania. To by oznaczało, że ktoś zadzwonił do drzwi, a Pela mu otworzyła. Pytanie brzmi, czy wtargnął do środka, czy go wpuściła, właśnie dlatego, że wcześniej wiedziała, kto to jest. Zaczniście od ustalenia tego, o czym powiedziałam, a ja jeszcze raz przepytam sąsiadów. Wbrew pozorom, nawet jeżeli twierdzą, że o niczym nie mają pojęcia, to podczas rozmowy bardzo szybko okazuje się, że wiedzą znacznie więcej, niż deklarują. I jeszcze jedno – co wiemy o drugiej ofercie?

– Kordelia Czaplińska, lat osiemdziesiąt dwa. Samotna, bezdzietna wdowa. Byliśmy w jej mieszkaniu w celu przeszukania, ale nie natrafiliśmy na nic, co mogłoby pchnąć śledztwo do przodu. Sprawdziliśmy też połączenia z jej komórki, ale kontaktowała się głównie z Zofią Pelą oraz lekarzem rodzinnym. Mieszkanie jest zaplombowane i pozostaje do dyspozycji policji. Czekamy, aż zgłosi się ktoś uprawniony, ale na razie cisza.

– To faktycznie niewiele mamy. – Florentyna wstała, dając im tym samym do zrozumienia, że uważa pierwsze spotkanie za zakończone. Monika chciała coś jeszcze powiedzieć, może nawet zaproponować kawę, ale postanowiła, że nie będzie się narzucać. Ostatecznie do tej pory nie przepadały za sobą i często dawała temu wyraz. Głupio byłoby teraz pokazywać, że nagle strasznie lubi swoją szefową i przejmuje się jej losem. Choć może tak naprawdę było, bo podczas ostatniego śledztwa, zabójstwa młodego chłopaka nad jeziorem Rusalka, aspirantka odniosła wrażenie, że jakoś lepiej poznała Florentynę i nawet trochę zaczęła ją lubić.

Ale nic na siłę.

– Coś jeszcze? – Szefowa spojrzała na nią pytająco.

– Nie, sorry, zamyśliłam się. Dobra, to zabieramy się do roboty. Jak coś będziemy mieli, to oczywiście meldujemy – odpowiedziała szybko.

Stała jednak w drzwiach, odwróciła się i powiedziała:

– Fajnie, że jesteś.

A potem wyszła szybko z pokoju, bo poczuła, że się czerwieni.

ROZDZIAŁ

3

Florentyna postanowiła, że wróci do domu pieszo. Było dość zimno i wilgotno, ale kompletnie jej to nie przeszkadzało. Większość witryn sklepowych była już udekorowana na Boże Narodzenie i niemal z każdej wystawy lypały na nią plastikowe Mikołaje, kusiły choinki, bombki i oczywiście światełka. Stanęła przed jedną, drugą, a potem trzecią, ale nie poczuła zupełnie nic. Te święta mogłyby się dla niej w ogóle nie odbyć. Już po śmierci Mikołaja najchętniej by o nich zapomniała, ale w tym roku było jeszcze gorzej. Teraz dodatkowo pojawił się potworny żal, z którym nie potrafiła sobie poradzić. Wydawało jej się absurdem, że świat cieszy się z nadchodzących świąt, podczas gdy ona przeżywa wewnętrzną tragedię.

Oczywiście, że było to głupie myślenie, ale nic nie mogła na to poradzić. Nie chciała, żeby inni się radowali, podczas kiedy ona była jednym wielkim krzykiem rozpaczy. Na jednej z wystaw sklepu obuwniczego między butami siedział anioł wykonany z drutu, styropianu i białego, błyszczącego materiału. Nie miał twarzy, a jednak Florentynie i tak wydawało się, że patrzy na nią jakoś ironicznie. Dokładnie tak samo patrzyła Pola, kiedy Florentyna odwiedziła swojego brata Kacpra, żeby poznać jego nową dziewczynę. Od samego początku coś jej się w niej nie podobało, ale nie potrafiła tego nazwać. Tak samo jak nie potrafiła uświadomić sobie, skąd zna perfumy, których używała Pola. Kiedy w końcu dowiedziała się wszystkiego, pojawiła się odpowiedź. Dwa, może trzy razy wydawało jej się, że Mikołaj pachnie jakoś inaczej. Nie zwróciła wtedy na to większej uwagi, dopiero potem dotarło do niej, że jej mąż pachniał Polą. Najbardziej w tym wszystkim przerażał ją fakt, że człowiek nigdy niczego nie mógł być pewny. Nie mógł na nikim w stu procentach polegać, nie mógł ufać bezgranicznie i bez żadnych trosk cieszyć się z nadchodzących dni. Bo wszystko mogło się wydarzyć. Tak właśnie było w jej wypadku. Czuła się zdradzona zarówno przez Mikołaja, jak i przez Kacpra. I kompletnie nie rozumiała, dlaczego jej to zrobili.

To, że Pola postanowiła odnaleźć jej brata, rozkochać go w sobie, a potem się na nim zemścić, było dodatkową łyżką trucizny w tym całym chorym koktajlu kłamstw, kręactw i niedopowiedzeń. Florentyna nie chciała znać szczegółów, wystarczyła jej informacja, że Pola przeprowadziła się do Poznania, odszukała Kacpra, a potem doprowadziła do sytuacji, w której się poznali. Kacper był

łatwym łupem, wystarczyło obsypać go komplementami, okazać zainteresowanie i zachwycić się jego sztuką, by szybko go sobie zjednać. Pola miała jeszcze tę zaletę, że była po prostu ładna i mogła się podobać. Nic dziwnego zatem, że Kacper tak szybko się w niej zakochał.

Plan był bardzo prosty. Pola chciała się zemścić na kimś, kto spowodował wypadek, w którym zginął Mikołaj, mężczyzna jej życia. Problem polegał jednak na tym, że dla Florentyny to również był mężczyzna jej życia.

I kto miał rację? Raz jeszcze zerknęła na sztucznego anioła, a potem zdecydowanym krokiem weszła do sklepu i zapytała, czy może go kupić.

– Ale my tu raczej sprzedajemy obuwie – zdumiała się młoda ekspedientka.

Florentyna skinęła głową, że owszem, wie, ale bardzo zależy jej na tej właśnie dekoracji.

– Zapłacę pani dwieście złotych, to chyba dobra cena za tego anioła, prawda? – spytała.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, a potem powiedziała, że musi skontaktować się ze swoim szefem. Chwilę później podeszła do okna, sięgnęła po anioła i podała go Florentynie, proponując jednocześnie jakieś okropne zimowe kozaczki. Policjantka podziękowała, wyjęła z portfela dwieście złotych, zabrała dekorację i wyszła ze sklepu. Zdumiona ekspedientka zobaczyła po chwili, jak kobieta rzuca figurkę na ziemię, a potem po niej skacze. Wystarczyło kilka minut, żeby po styropianowo-metalowej konstrukcji nie zostało absolutnie nic.

– Jezu, jakaś wariatka – wyszeptła dziewczyna, a potem ostrożnie podeszła do drzwi i na wszelki wypadek przekręciła zamek.

Na szczęście Florentyna nie była zainteresowana niczym więcej. Odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie, zostawiając na ulicy zmiażdżonego anioła.

Kiedy dotarła w okolice domu, zobaczyła, że pod kamienicą stoi Kacper i wpatruje się w okno jej mieszkania. Cofnęła się o pół kroku. Nie miała najmniejszej ochoty na spotkanie, chociaż brat wydzwaniał do niej niemal każdego dnia. Wiedziała, że prędzej czy później będą musieli skonfrontować się z tym wszystkim, co się wydarzyło, ale na razie nie była w stanie się do tego zmusić. Nie chciała słuchać jego usprawiedliwień, tłumaczeń, tak naprawdę nie chciała w ogóle na niego patrzeć. Tak, to był jej ukochany brat, jedyna bliska osoba, która została jej na świecie, ale nie teraz. Nie w tym momencie.

Kacper zdecydowanie stracił na wadze. Wyglądał, jakby schudł co najmniej dwadzieścia kilo. Miał zapadnięte policzki, trochę nieprzytomny wzrok, a jego szczupłe ramiona nawet w kurtce wydawały się wyjątkowo wątle. Florentynie ścisnęło się serce, ale nie chciała rozbudzać w sobie większego współczucia. Dlaczego jej nie powiedział?

Dlaczego nawet słowem nie wspomniał o tym, że Mikołaj kogoś ma?

Dlaczego nie przyszedł z tym do niej, nie podzielił się tą informacją?

Być może gdyby wiedziała, wszystko potoczyłoby się inaczej. Być może odeszłyby od Mikołaja, ale on dalej by żył.

Wszystkie scenariusze były możliwe, ale już nie po tamtym dniu. Teraz zostało tylko mnóstwo niedomówień i pytań, na które już nigdy nie otrzyma odpowiedzi. Schowała się za rogiem domu i odczekała, aż Kacper w końcu wsiadł do samochodu i odjechał. Widziała jeszcze, jak wyciąga komórkę, po chwili rozległ się dźwięk w jej własnym telefonie. Nie odebrała.

W domu czekała na nią rozradowana Lula. Florentyna na jej widok szczerze się uśmiechnęła, a potem podrapała ją po mięciutkiej głowie.

– Lubię cię, wiesz? Myślałam, że już niczego nie czuję, ale kiedy ty tu jesteś, to przynajmniej rozbudza się we mnie małe radość na twój widok. Poczekaj chwilę, wezmę czapkę i rękawiczki i pójdziemy na spacer. Ciekawa jestem, czy twój pan faktycznie wyjechał – zastanowiła się przez moment. – Wiesz co? Przecież ja to mogę sprawdzić. Przecież wiem, gdzie on mieszka. Proponuję, żebyśmy udały się dokładnie w tamte okolice na spacer i zupełnie mimochodem sprawdziły, czy prokurator Mączyński jest w domu.

Po załatwieniu przez Lulę spraw pierwszej potrzeby pojechały na Strzeszyn, gdzie mieszkał Florian Mączyński.

Lula od razu zorientowała się, gdzie są, i zaczęła ciągnąć policjantkę w stronę domu, w którym mieszkał jej pan.

– Hej, mała, nie tak szybko. Poza tym to ma być małe, niewinne śledztwo, a nie takie ostentacyjne najście.

Na moment zatrzymała się, a potem się uśmiechnęła.

– Chociaż dlaczego nie? Masz rację, Lula.

Florentyna, nie zastanawiając się długo, podeszła do dwupiętrowego białego domu otoczonego równie białym murkiem, sama otworzyła furtkę, która na szczęście nie była zamykana na klucz, a potem pokonując trzy schodki, stanęła przed dużymi ciemnobordowymi drzwiami. Już z daleka zauważyła, że w domu świeci się światło, a zatem z całą pewnością ktoś musiał być w środku.

– Ojej! – zawołał na jej widok Mączyński, a na jego twarzy wymalowało się gigantyczne zdumienie połączone z zakłopotaniem.

Nic dziwnego. Ostatecznie dał się złapać na gorącym uczynku. A to jego „ojej” zabrzmiało jak z innej epoki.

– Pobyt ci się skrócił czy może jednak nie zdążyłeś jeszcze wyjechać? – spytała poważnym tonem Florentyna.

Mączyński się zaczerwienił.

– Tak, to znaczy nie, chodzi o to...

Chyba po raz pierwszy w życiu widziała go zakłopotanego i niepewnego tego, co ma powiedzieć.

– Okej – powiedziała, bo postanowiła, że nie będzie go więcej męczyć. – To nawet nie był najgorszy pomysł, muszę przyznać. Lula zmusiła mnie do tego,

żebym wyszła z domu, a tak naprawdę osiągnęła znacznie więcej. Byłam dzisiaj w pracy – stwierdziła.

Mączyński się uśmiechnął.

– A może wejdiesz na chwilę? Zrobię ci kawę, herbatę, mam nawet ciasto własnej roboty.

Florentyna ze zdumieniem uniosła brwi.

– Własnej roboty? Chcesz mi powiedzieć, że właśnie upiekłeś szarlotkę?

– Szarlotkę to akurat nie, ale przetestowałem nowy przepis na piernik i wydaje mi się, że mogę go zaliczyć do udanych.

– Nie mam smaku – poinformowała go Florentyna.

– Covid? – zdumiał się Mączyński.

Policjantka parsknęła śmiechem.

– Nie. Nie mam smaku na nic, na życie również. Ale ostatecznie mogę spróbować twojego piernika, może będzie tak bardzo niedobry, że nawet ja to poczuję – dodała złośliwie.

Lula z radością pomerdała tym czymś, co miało być ogonkiem.

ROZDZIAŁ

4

Florentyna chciała zacząć od przesłuchania ludzi mieszkających obok willi na Sołaczu, w której zostały zamordowane kobiety. Zaparkowała więc niedaleko domu Zofii Peli, kiedy jednak koło niego przechodziła, zauważyła mężczyznę stojącego w ogrodzie i patrzącego w niebo. W rękach trzymał kurczowo jakiś zeszyt. Podeszła bliżej, weszła przez otwartą furtkę, a następnie stanęła obok niego. Wystraszył się na jej widok, otworzył szeroko usta i popatrzył na Florentynę zaniepokojonym wzrokiem.

– Pan Franciszek Pela? – spytała.

Skinął głową.

– Kim pani jest?

– Policjantką śledczą, prowadzę sprawę zabójstwa pana matki oraz jej przyjaciółki.

Franciszek nagle się skulił.

– Mamę ktoś zabił. To niedobrze, że nie było mnie w domu i że nie mogłem jej obronić. To niedobrze, że pojechałem nad morze. Wszystko, co zrobiłem, było błędem i zostałem za to ukarany. Franio jest zły.

Florentyna próbowała wejść mu w słowo, ale mężczyzna cały czas powtarzał to samo, nie dając jej żadnych szans na wtrącenie czegokolwiek.

– Wszystko, co zrobiłem, było błędem. To niedobrze, że nie było mnie w domu i że nie mogłem jej obronić. To niedobrze, że pojechałem nad morze.

Po chwili schował twarz w dłoniach i zaczął płakać. Florentyna przyglądała mu się w milczeniu. Franciszek Pela był wysokim mężczyzną, korpulentnym, ubranym w zdecydowanie za krótkie spodnie i dwa różne buty. Miał pięćdziesiąt cztery lata, ale wyglądał na znacznie młodszego. Na jego twarzy nie było w ogóle zmarszczek, a ciemnych włosów nie dotknęła jeszcze siwizna. Miał duże dłonie, z poobgryzаныmi paznokciami. Sprawiał wrażenie zagubionego, kogoś, kto kompletnie nie radzi sobie z tą całą sytuacją. Policjantka doskonale wiedziała, jak czuje się syn zamordowanej. Jak ktoś wrzucony w sam środek nicości, która przeraża brakiem perspektyw. Zupełnie jakby miało nie być jutra, jakby ciąg dalszy nie istniał.

– Chciałabym wejść do środka, nie ma pan nic przeciwko?

Franciszek spojrzał na nią mało przytomnie, ale pokiwał potakująco głową.

- Ale Franiu teraz nie wejdzie. Nie może. Niepotrzebnie pojechałem nad morze, niepotrzebnie zostawiłem ją samą. To wszystko moja wina.

Florentyna poklepała go po ramieniu, a potem weszła do okazałej, dwukondygnacyjnej willi. Z notatek wynikało, że do zabójstwa doszło mniej więcej dzień temu. W domu nadal panował bałagan, Florentyna wiedziała jednak, że technicy zdjęli już wszystkie ślady, dlatego mogła swobodnie poruszać się po pomieszczeniach. W ciemnym korytarzu na podłodze leżały ubrania zrzucone z wieszaków, ale prawdziwy chaos zaczynał się kilka metrów dalej, w pokoju gościnnym. W oczy rzucały się zwłaszcza wyrwane z zawiasów drzwi ogromnej, dębowej rzeźbionej szafy, której cała zawartość wyrzucona została na podłogę. Otwarty był również kredens, straszący teraz pustymi półkami.

Florentyna była niemal pewna, że musiało stać w nim sporo bibelotów, ponieważ w splądrowanym pokoju w dalszym ciągu znajdowało się mnóstwo najróżniejszych przedmiotów. Policjantka doliczyła się co najmniej czterech stojących lamp, trzech małych stolików, na których stały lub leżały porcelanowe figurki, kilku doniczek z kwiatami, drewnianego konia na biegunach i dziesiątek kolorowych poduszek. Na podłodze leżało mnóstwo woreczków wypchnych suszoną lawendą, które prawdopodobnie wcześniej leżały w szafie i kredensie. W pokoju znajdowało się też sporo metalowych, porcelanowych i szklanych wazonów, do tego wiklinowe ozdoby, grawerowane pudełka na biżuterię oraz całe mnóstwo kolorowych kamieni rozrzuconych niemal wszędzie. Wiele z tych rzeczy było kiczowatych i pewnie mało wartościowych, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Jak na przykład biała karoca w kształcie dyni, wysadzona jakimiś błyszczącymi koralikami, które raczej były cyrkoniami, a nie prawdziwymi diamentami. Możliwe jednak, że złodziej doskonale wiedział, czego szuka, i zabrał tylko te przedmioty, które miały jakąkolwiek wartość. Być może syn zamordowanej nie miał zielonego pojęcia o tym, jak cenne były niektóre rzeczy, możliwe także, że w ogóle ich nie pamiętał.

W kolejnych pokojach panował podobny nieporządek. W sypialni ktoś zrzucił nawet materac z łóżka, zupełnie jakby czegoś pod nim szukał. Białe-złote szafki postawione po obu stronach łóżka miały pootwierane szuflady, wystawała z nich bielizna zamordowanej. Również białe-złota szafa była otwarta, a wszystkie ubrania wyrzucono z niej na podłogę.

Tak, wszystko to wyglądało, jakby złodziej czegoś szukał. Pytanie brzmiało, czy Zofia Pela знаła przestępcę, bądź kto z jej znajomych mógł wiedzieć, że posiada ona jakieś cenne przedmioty lub pieniądze. Marcin miał jednak rację, w tym domu wyczuwało się bogactwo, nawet jeżeli było ono przykryte kiczowatymi podróbkami i tanimi bibelotami.

Zastanawiające jednak było coś innego - liczba uderzeń, które zadano Zofii Peli oraz Kordelii Czaplńskiej. Nawet jeżeli złodziej dał się zaskoczyć, to raczej nie powinien obawiać się dwóch staruszek. Wystarczyło ogłuszyć je czymś cięż-

kim lub co najwyżej zadać jeden silniejszy cios. Obrażenia obu kobiet wskazywały jednak na wyjątkową brutalność przestępcy, zupełnie jakby działał on w jakimś amoku. U Peli stwierdzono ponad dwadzieścia kłutych ran, czaszka miała zmiążdżoną od uderzeń ciężkim przedmiotem. Kordelia Czaplínska również była wielokrotnie uderzana. Z notatek policyjnych wynikało, że obie kobiety zostały zepchnięte ze schodów do piwnicy, jakby morderca chciał mieć absolutną pewność, że nie przeżyją tego ataku. W tej zbrodni chodziło o coś więcej niż tylko o kradzież, tak przynajmniej podejrzewała Florentyna.

Usiadła teraz na brzegu łóżka, wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy. Ale tym razem w jej głowie nie pojawiły się żadne obrazy, nie wyświetliło się nic, co mogłoby jakkolwiek pomóc. Doskonale wiedziała dlaczego. Zamiast skupić się na tym miejscu, zamiast skierować myśli na ofiary zbrodni, ona cały czas wracała pamięcią do tego, co wydarzyło się dwa miesiące temu. Do próby zamordowania jej brata, która na szczęście okazała się nieudolna, ale jednocześnie odsłoniła prawdę o jej mężu. Florentyna mocno zacisnęła powieki i próbowała odpędzić od siebie obraz Mikołaja całującego Polę, ale to było silniejsze od niej.

– Niech to szlag.

Poczuła, jak pod powiekami zbierają jej się łzy, a serce znowu zaczyna się tłuc jak oszalałe. Była na siebie wściekła, że nie potrafiła się wyłączyć, oddzielić życia prywatnego od zawodowego, chociaż do tej pory świetnie jej się to udawało. Wstała, a potem zdecydowanym krokiem zeszła do piwnicy, gdzie na podłodze ciągle jeszcze widać było brunatne ślady zaschniętej krwi. Ominęła je i weszła do pomieszczenia, w którym znajdowały się wyłącznie metalowe regały, a na nich pojemniki, kartony i pudełka. Zofia Pela najwyraźniej nie lubiła wyrzucać starych rzeczy, a przy okazji była miłośniczką zbierania wszystkiego, co kiedyś mogło się przydać. W kartonach Florentyna znalazła zabawki, prawdopodobnie należące jeszcze do Franciszka. Podobnie jak dziecięce ubranka, duża świeca z pierwszej komunii, stare zeszyty i książki. W jednym z pudełek znajdowały się wyłącznie rękawiczki – męskie, damskie oraz dziecięce, niektóre ze skóry, niektóre z włóczki, ale niemal wszystkie nienadające się już do użytku. Były też czapki, szaliki, całe mnóstwo plastikowej biżuterii, osobne pudełko z najróżniejszymi broszkami, a także gigantyczny karton z kapeluszami – niektóre z nich pochodziły prawdopodobnie sprzed kilkudziesięciu lat. Należało przyznać, że Zofia musiała być bardzo skrupulatną kobietą, bowiem wszystkie rzeczy były starannie posegregowane, ułożone i opisane. W jednym z pojemników Florentyna natknęła się na zepsute zabawki – misia z oderwanymi nóżkami, pieska z rozprutym brzuchem oraz lalkę bez głowy. Najbardziej obrzydliwa okazała się zawartość czarnego plastikowego pojemnika stojącego na najwyższej półce. Florentyna znalazła w nim brudne śliniaki z zaschniętymi resztkami jedzenia, a także ubranka z plamami i kilka zwiniętych pieluszek tetrowych, które najwyraźniej były przez kogoś używane. Skrzy-

wiła się z obrzydzeniem i szybko zamknęła pokrywkę. Znała świetnie takie osoby, które chomikowały absolutnie wszystko. Zofia Pela najprawdopodobniej do nich należała. Kiedy Florentyna weszła z powrotem na górę, natknęła się w korytarzu na Franciszka Pełę, który smutnym wzrokiem patrzył na rozrzucone ubrania matki.

– Czy mam zanieść jej kurtkę i płaszcz do czyszczenia? – Skierował pytający wzrok na Florentynę.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, ale na wszelki wypadek skinęła głową. Może miało to dla niego jakieś szczególne znaczenie, może w jakimś sensie mogło mu pomóc. Czasami ludzie po śmierci bliskich osób zachowują się nieracjonalnie, chcą jednak, żeby ktoś ich w tej nieracjonalności wspierał. Oddanie płaszcza do pralni nie miało żadnego sensu, ale tak wydawało się Florentynie. Być może Franciszek myślał zupełnie inaczej.

– Franio niepotrzebnie pojechał nad morze. Wszystko to się stało przeze mnie. I teraz nie mam już mamy – powiedział jeszcze, a potem sięgnął po leżący na podłodze ciemnobordowy płaszcz oraz czarną kurtkę i włożył obie te rzeczy do przygotowanej wcześniej dużej plastikowej torby.

Florentynie przez moment wydawało się, że poczuła zapach moczu, ale możliwe, że było to tylko złudzenie.

– Chciałabym tu jeszcze zajrzeć w najbliższych dniach – powiedziała do Franciszka. – I chciałabym jednocześnie zapytać, czy kojarzy pan jakiegokolwiek przedmioty, które posiadała pana matka, a których teraz nie może pan znaleźć? Ja wiem, że tego wszystkiego jest tutaj bardzo dużo, ale może jednak przyjdzie panu coś szczególnego do głowy.

Nie miała większych nadziei na to, że Franciszek sobie coś przypomni, ale on spojrzał na nią poważnym wzrokiem i powiedział:

– Polska Fabryka Porcelany Chodzież.

– Słucham? – zdumiała się Florentyna.

– Polska Fabryka Porcelany Chodzież – powtórzył.

A potem znowu się rozplakał.

ROZDZIAŁ

5

Florentyna była pod wrażeniem. Do tej pory często musiała kilka razy prosić Marcina, żeby coś zrobił, a przynajmniej mu o tym przypominać. Tym razem było jednak inaczej i policjant już następnego dnia zjawił się w biurze, żeby przedstawić jej komplet informacji, o które prosiła.

– Dom aukcyjny Desa Unicum, kwiecień dwa tysiące dwudziestego roku. Przedmiotem aukcji była figurka o „delikatnych kształtach, wyrysowanych smukłymi liniami porcelany”. To nie moje słowa, oczywiście, podaję opis. Sprzedano ją za dwadzieścia dwa tysiące złotych. Dla mnie nie do pojęcia, ale okazało się, że była to niejaka „Dziewczyna na plaży” projektu Lubomira Tomaszewskiego, a za takie cacka kolekcjonerzy płacą ogromne pieniądze. Pochodziła z Zakładów Porcelany Stołowej w Chodzieży, co podobno oznacza jakość i prestiż. Podobnie jak polska porcelana z Ćmielowa. Fachowcy twierdzą, że z charakterystycznym stylem epoki idzie w parze indywidualny sznyt jej twórcy. To znowu cytaty.

Florentyna się uśmiechnęła. Musiała przyznać, że nieźle się przygotował.

Marcin zaś mówił dalej.

– Kolekcjonerzy mówią na takie cuda „białe złoto”. Sprawdziłem to i okazało się, że zaczęło ono powstawać w Polsce już pod koniec osiemnastego wieku w Ćmielowie właśnie. W latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku artyści plastycy zatrudnieni w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego rozpoczęli pracę z porcelaną, tworząc takie figurki jak ta „Dziewczyna na plaży” – utrzymane w tak zwanym stylu New Look, czyli proste, często asymetryczne formy z geometrycznymi dekoracjami. Kiedyś były to popularne bibeloty, które stały w wielu meblościankach, dzisiaj są to kolekcjonerskie rarytasy. Rzekomo gwarantem ich długowieczności jest jakość oraz sposób obróbki materiału. A porcelana z Ćmielowa czy Chodzieży jest świetlista, cienka, ale jednocześnie bardzo twarda i wytrzymała dzięki wysokiej temperaturze wypalania. W praktyce oznacza to wysoką odporność na zarysowania czy pęknięcia. To tyle. Wykułem na pamięć, ale mam nadzieję, że wyczerpałem temat.

– Z tego, co mówił Franciszek Pela, i z tego, co sama zobaczyłam, można wywnioskować, że jego matka posiadała tego rodzaju porcelaną. Niestety nie wiemy dokładnie co, bo jej syn już nie potrafił sobie przypomnieć takich szcze-

gółów, a ja natknęłam się wyłącznie na tanie, bezwartościowe przedmioty. To, co możemy zrobić, to zlecić obserwowanie wszystkich domów aukcyjnych i to nie tylko w Poznaniu, ale również w całej Polsce, i poprosić o poinformowanie nas, jeżeli coś z chodzieskiej lub ćmielowskiej porcelany pojawi się na aukcjach. Wychodzę z założenia, że złodziej prawdopodobnie odczeka jakiś czas, ale prędzej czy później będzie chciał pozbyć się ukradzionych rzeczy i je spieniężyć – powiedziała Florentyna. – To może być nasz trop, bo na razie niczego innego nie mamy.

– A rozmawiałaś już z technikami? – zapytał Marcin. – Zwłaszcza z tym nowym?

– Nowym? – Florentyna zmrużyła oczy. – To już nie ma z nami Kamila?

– Jest, ale dołączył do niego Kuba. Facet podobno przyjechał z Rzeszowa. Mówi się, że jest cholernym szcegółarzem i jeżeli ktokolwiek miałby coś znaleźć, to właśnie on.

– Okej, skontaktuję się z nim, chociaż podejrzewam, że gdyby cokolwiek miał, to już mielibyśmy to na stole.

Marcin bezradnie rozłożył ręce.

– Dobra robota, nie przypuszczałam, że tak szybko się z tym uwiniesz – dodała jeszcze Florentyna.

Nie odpowiedział, ale uznał to za komplement. Co prawda zdumiało go, że Florentyna nie nazwała go kaczorkiem, myszką czy też ptaszyną, ale od jakiegoś czasu nie używała tych swoich zdrobnień. Marcin nie do końca wiedział, co się wydarzyło i dlaczego jego szefowej przez jakiś czas nie było w pracy, a Monika nie była specjalnie rozmowna. Domyślał się oczywiście, że pewnie chodzi o jakieś babskie sprawy, problemy z facetami albo coś podobnego, bo to wtedy najczęściej kobietom zaczyna strajkować rozsądne myślenie. Ciekawe, że potrafiły rozwikłać najtrudniejsze śledztwa, być niezwykle podejrzliwe i w wielu sprawach stanowcze, ale jeśli chodziło o relacje damsko-męskie, to tak łatwo dawały się zranić.

Zresztą nieważne.

Nie brakowało mu tych zdrobnień, wręcz przeciwnie. Za każdym razem wściekał się, kiedy Florentyna nazywała go króliczkim, a jednak w jej obecnym zachowaniu było coś dziwnego, zupełnie jakby miał do czynienia z inną osobą niż jeszcze kilka tygodni temu. Machnął jednak ręką. Najważniejsze, że przestała się go czepiać, a nawet pochwaliła. I chyba dobrze, że przestała chodzić w tych różowych fatałaszki. To było naprawdę ciężkostrawne.

Florentyna tymczasem uprzętnęła biurko i rozłożyła na nim duże kartki papieru. Zawsze tak robiła, żeby „rozrysować śledztwo”, jak to nazywała. Monika miała rację, mieli już trochę wątków, ale nic tak naprawdę nie układało się choćby w kawałek jakiegoś obrazu. To, że był to napad na tle rabunkowym, było niemal pewne. Pytanie tylko brzmiało, co zginęło z willi na Sołaczu oraz co

kierowało mordercą, że w tak brutalny sposób zabił dwie starsze kobiety. Florentyna nadal nie eliminowała z kręgu podejrzanych Franciszka Peli, chociaż coś z tyłu głowy szeptalo jej, że to fałszywy trop. Ale statystyki policyjne podawały wyraźnie, że bardzo często mordercami okazywały się najbliższe osoby lub przynajmniej ktoś z bliskiego otoczenia. Florentynie na razie udało się porozmawiać z ludźmi mieszkającymi po prawej stronie domu Zofii Peli. Drudzy sąsiedzi wyjechali na kilka dni w góry, tak przynajmniej poinformowała ją kobieta, która opiekowała się domem pod ich nieobecność. Sąsiadami z prawej strony było starsze małżeństwo – Tadeusz i Maria Ziętkowscy, którzy w dalszym ciągu nie mogli uwierzyć w to, co stało się w ich spokojnej jak dotąd dzielnicy.

– To była bardzo miła starsza pani. Nie znaliśmy się zbyt dobrze, bo wprowadziliśmy się tutaj pięć lat temu. Często widywałem ją, jak chodziła na spacerzy z synem albo jak dokarmiała okoliczne koty. W domu ich nie trzymała, bo podobno miała alergię, ale nie mogła patrzeć obojętnie na głodne zwierzęta. Co jeszcze mogę powiedzieć? W zeszłym roku, w okolicach świąt Bożego Narodzenia, zrobiliśmy u nas na ulicy takie małe przyjęcie dla wszystkich sąsiadów. Pamiętam wtedy, że razem z synem upiekła babeczki w kształcie reniferów, które wszystkim bardzo smakowały – wspominał Ziętkowski.

– A Franciszek Pela? Co może pan o nim powiedzieć?

– To też taki spokojny chłopak, chociaż może chłopak to złe określenie. Jeżeli z nim pani rozmawiała, to pewnie zauważyła, że jest trochę opóźniony, ale pani Zofia nigdy tak o nim nie mówiła. Uważała po prostu, że jej syn potrzebuje trochę więcej czasu niż inni ludzie, żeby zrozumieć, co się do niego mówi i żeby samemu udzielić jakiejś odpowiedzi. Nie nazywała tego jednak chorobą czy niedorozwojem, tylko swego rodzaju zawieszeniem.

– Rozumiem jednak, że ten rodzaj zawieszenia pozwala panu Franciszkowi mieszkać samemu? – dopytywała się Florentyna.

Maria Ziętkowska wtrącała się do rozmowy.

– On jest bardzo samodzielny. Ja wiem, że może się wydawać, iż ma jakieś braki i że nie potrafi sobie ze wszystkim poradzić, ale ten chłopak naprawdę dużo rzeczy umie zrobić sam. I zna dużo dziwnych słów, które lubi sobie od czasu do czasu powtarzać. Niektóre zapamiętałam – gryncbuła, gnuśność, toksokaroza. To ostatnie to choroba kota, wie pani? Bo nie każdy to wie. Przeraza mnie świadomość, że to on właśnie znalazł swoją matkę. Miał tylko ją, bo z tego, co wiem, to ojciec zostawił ich krótko po jego narodzinach. Pani Zofia z nikim się więcej nie związała. I pewnie też przez to porzucenie nie była zbyt chętna do zawierania przyjaźni z innymi ludźmi.

– A pani Kordelia Czaplńska? Druga zamordowana kobieta? – Florentyna spojrziała pytająco na Tadeusza i Marię.

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

– Ja jej za dobrze nie znałem. Wiem, że mieszkała gdzieś na osiedlu Kosmonautów i że często się odwiedzały. Ale nie wiem, skąd się znały i jaki to był rodzaj przyjaźni.

– Ale widywał pan ją z panią Zofią? – spytała Florentyna.

– Tak mi się wydaje. Ona tu przychodziła może tak od dwóch lat. O, już wiem! – Uderzył się dłonią w czoło. – Pani Zofia była w jakimś sanatorium i tam poznała Kordelię, teraz sobie przypomniałem. I od tamtego czasu były niemal nierozłączne.

– A czy bywali państwo w domu pani Peli?

– Nie – odpowiedział po chwili pan Tadeusz, a potem spojrział zdumiony na swoją żonę. – Marysiu, ja nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale faktycznie nigdy nie byłem w tym domu, ty też, prawda?

Pani Maria przecząco pokręciła głową.

– A czy to nie jest trochę dziwne? – chciała wiedzieć Florentyna. – Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że nie wszyscy sąsiedzi muszą się lubić, odwiedzać, wspólnie piec ciasto czy oglądać telewizję, ale wy jednak znaliście się już jakiś dłuższy okres. Nie ma u was zwyczaju wzajemnego odwiedzania się?

– No niby jest coś takiego, bo czasami przychodzą do nas sąsiedzi z naprzeciwka, a po tym ubiegłorocznym spotkaniu przedświątecznym to dodatkowo zadzierzgnęły się jakieś inne bliższe znajomości. Ale to faktycznie nie jest tak, że my się tu wszyscy bardzo dobrze znamy i każdy o każdym wszystko wie. Poza tym mamy tu sporo nowych rodzin, a w jednym domu mieszkają studenci. Trochę się tu pozmieniało. Ale być może coś więcej powiedzą pani Ania i Kazik Kropiszowie, ci, którzy teraz są w górach. Oni zawsze przed świętami wyjeżdżają na trochę, żeby naładować akumulatory. Zazwyczaj robią to krótko przed Bożym Narodzeniem, ale po tym, co się tutaj wydarzyło, nie potrafili usiedzieć na miejscu. Zwłaszcza Ania strasznie się bała, że ten złodziej znowu pojawi się w naszej okolicy i być może będzie chciał ogołocić kolejny dom.

– Czy pani Anna przyjaźniła się z panią Zofią?

– Tak jak mówiłem, pani Zofia nie przyjaźniła się z wieloma osobami, ale z tego co kojarzę, to z Anią z całą pewnością miała bliższy kontakt. Możliwe, że nawet u niej była. I na odwrót.

Widać było, że pan Tadeusz był już zmęczony tą rozmową. I mocno przestraszony.

– Niech mi pani powie, jest szansa, że złapiecie tego mordercę? – Rzucił jej niemal błagalne spojrzenie.

Florentyna ostrożnie się uśmiechnęła.

– Tak naprawdę to cała nasza praca polega właśnie na tym, żeby ukarać winnych. Żeby znaleźć osobę odpowiedzialną za popełnienie zbrodni i postawić ją przed wymiarem sprawiedliwości. Ale nie mogę tego panu obiecać, prawda? Mogę tylko zagwarantować, że zrobimy absolutnie wszystko, żeby poznać

prawdę. Mam jeszcze jedno pytanie. Orientujecie się może państwo, czy pani Zofia posiadała jakieś kosztowności? Jakież dzieła sztuki, porcelanowe figurki, srebra rodowe, cokolwiek, co mogłoby skusić potencjalnego mordercę?

Pani Maria podniosła głowę.

– W ubiegłym roku na tym przyjęciu, które odbyło się u nas na ulicy, zrobiliśmy też mały jarmark. A dokładnie mówiąc, zebraliśmy kilka rzeczy, które sprzedawaliśmy między sobą, żeby zarobione w ten sposób pieniądze przeznaczyć na wybrany dom dziecka. I tam była taka figurka, która bardzo spodobała się pani Zofii. Powiedziała wtedy, że w domu ma podobną, i że nazywa się „Grzybiarka”, a mi się wtedy przypomniało, że moja babcia też taką posiadała. To była figurka z Ćmielowa, ładna bardzo, taka biała z pomarańczowymi i czarnymi paseczkami...

– New Look, proste, często asymetryczne formy z geometrycznymi dekoracjami – szepnęła teraz do siebie Florentyna, przypominając sobie to, co niedawno powiedział jej Marcin.

Dopisała coś na kartce papieru.

Możliwe, że przynajmniej było wiadomo, czego szukać.

ROZDZIAŁ

6

Pomysł Moniki okazał się dobrym posunięciem, chociaż początkowo wydawać się mogło, że młodzi ludzie mieszkający w domu oddalonym o kilka ulic od willi, w której zamordowano Zofią Pełę oraz jej przyjaciółkę, nie będą specjalnie pomocni. A jednak dość szybko okazało się, że nie tylko niektórzy z nich wiedzieli całkiem sporo, lecz także jedna z wynajmujących osób całkiem dobrze znała Franciszka Pełę.

Dom, w którym mieszkali, również był starą przedwojenną willą, z dużymi pokojami i aż trzema łazienkami. Florentyna zdziwiła się, że młodych ludzi, studentów, stać na wynajem czegoś takiego. Podobno czynsz w tym miejscu wynosił kilka tysięcy złotych, co w obecnych czasach wcale nie było małą sumą. W willi mieszkała jedna dziewczyna, studentka biologii, oraz trzech chłopaków – dwóch studentów medycyny, a jeden filologii angielskiej. Florentyna pojechała do nich razem z Moniką. Szczęśliwie zastały całą czwórkę i od razu zauważyły, jak młodzi ludzie spięli się na ich widok i że początkowo nikt nie chciał rozmawiać.

– Agnieszka, to może ty zacznij, bo ja tam za dużo nie wiem – powiedział jeden z chłopaków, chyba Tomek.

Wydawał się wyjątkowo zdenerwowany, na jego czole pojawiły się nawet kropelki potu, które co chwila wycierał rękawem swetra. Kiedy jednak dostrzegł uważne spojrzenie Florentyny, szeroko się uśmiechnął i zaczął udawać totalnie wyluzowanego, co wyglądało bardziej niż nienaturalnie. Dwóch pozostałych chłopaków w ogóle unikało wzroku policjantek i widać było, że najchętniej zwałiliby do swoich pokoi.

– Ja nie bardzo wiem, co mam powiedzieć i jak mogłabym pomóc – odezwała się po chwili Agnieszka. Była drobną, szczupłą blondynką z tatuażem w kształcie róży na przedramieniu, na widok którego Florentyna odrobinę się wzdrygnęła.

Nie lubiła tatuaży.

– Rozmawiałam kilka razy z panią Zofią, no i znałam dobrze Franciszka. To znaczy dobrze to może za dużo powiedziane, po prostu czasami, kiedy wracałam z uczelni, a on właśnie wychodził od swojej mamy z domu, to odprowadzał mnie aż pod same drzwi i wtedy trochę rozmawialiśmy.

– A nie wydawało ci się dziwne, że starszy mężczyzna towarzyszy ci w drodze do domu? – zainteresowała się Monika.

Agnieszka zastanowiła się przez chwilę.

– No, może jak mnie pierwszy raz zagadał, to trochę się wystraszyłam, ale potem dotarło do mnie, że pan Franciszek jest raczej z tych nieszkodliwych, jeżeli wie pani, co mam na myśli. – Odrobinę się zaczerwieniła. – Zawsze był niezwykle grzeczny, uprzejmy i nigdy nie poczułam się w jego towarzystwie jakoś dziwnie. Szybko zauważyłam, że ma pewne problemy rozwojowe, to znaczy proszę mnie źle nie zrozumieć, nie uważam, że jest nienormalny, po prostu czasem wystawiał się jak małe dziecko albo brakowało mu odpowiednich słów. Bywało tak, że kiedy ja coś mówiłam, a on nie wszystko rozumiał, to prosił mnie, żebym zapisała mu jakiś wyraz w zeszytce, który zawsze miał przy sobie, bo twierdził, że to mu bardzo pomaga rozwijać słownictwo. Chociaż sam czasem używał dziwnych zwrotów, typu abderyta czy patafian. Chyba przez to, że cały czas próbował się uczyć nowych wyrazów, tak naprawdę miał bardzo bogaty zasób słów.

– A mówił coś o sobie? – spytała Florentyna.

– Tylko tyle, że pracuje jako teleankieter i że bardzo to lubi. Że to jest dla niego dobra praca, bo w zasadzie ciągle mówi to samo. I że on rozumie klientów, którzy się denerwują, bo nie każdy chce, żeby dzwoniły do niego obce osoby i zadawały pytania. Ale on nie miał z tym żadnych problemów.

– A jakie były jego relacje z matką? – wtrąciła Monika.

Agnieszka bezradnie rozłożyła ręce.

– Nie wiem, chyba dobre. Czasami widywałam ich, jak chodzą razem na spacer i pani Zofia poprawiała mu czapkę albo podawała rękawiczki. Widać było, że ciągle się nim opiekuje, jakby był małym dzieckiem. A z samą panią Zofią to rozmawiałam może trzy razy, kiedy zauważyłam, jak dokarmia okoliczne koty. Spytałam ją wtedy, czy sama ma zwierzaki w domu, ale powiedziała, że jej silna alergia wyklucza taką możliwość. Mówiła jednak, że bardzo lubi zwierzęta, a koty to już najbardziej, i pewnie dlatego ciągle pod jej domem wysiadywały jakieś zwierzaki i czekały na coś do jedzenia. Ale nic więcej nie potrafię powiedzieć, sama jestem przerażona tym, że ktoś mógł zabić tak miłą staruszkę. Zresztą nawet nie nazwałabym jej staruszką, mimo wieku. Ona była pełna życia, sprawnie się ruszała, nie miała żadnych problemów z chodzeniem. Najbardziej przeraża mnie, że to się stało u nich w domu, że tam po prostu ktoś wszedł i to zrobił. – Spuściła głowę.

Pozostała dwójka mieszkańców, Igor oraz Łukasz, nie mieli w sprawie Franciszka Peli i jego zamordowanej matki nic do powiedzenia. Łukasz wprowadził się do willi dwa miesiące temu i twierdził, że nigdy nie poznał swoich sąsiadów. Igor z kolei nie miał okazji, aby z nimi rozmawiać.

– A ty? – Monika skierowała pytanie w stronę Tomka, który najwyraźniej nie mógł usiedzieć na miejscu. Co chwilę wstawał od stołu, podchodził do okna, poprawiał firanki albo przesuwiał doniczkę z kwiatami. Potem patrzył w kierunku kuchni, która była połączona z dużym pokojem gościnnym i pytał, czy zrobić komuś herbatę. Kiedy zadał to pytanie po raz trzeci, Florentyna poinformowała go, że naprawdę nie mają ochoty na nic do picia i że nie musi więcej się tym martwić. I że przyszły tu z Moniką w innym celu.

– Ale ja nic nie wiem – odpowiedział natychmiast. – Dwa razy pomagałem pani Zofii zanieść zakupy do domu, ale nigdy nie wchodziłem do środka. Rozmowa między nami też się niespecjalnie kleiła, no bo nie wiedziałem, o czym z nią gadać. Trochę o pogodzie, trochę o tym, że studiuje medycynę, to wszystko. Z jej synem nie rozmawiałem nigdy.

Kiedy Florentyna z Moniką wyszły z domu studentów, obie spojrzały na siebie znaczącym wzrokiem.

– Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale wydaje mi się, że ci ludzie wiedzą trochę więcej, niż nam powiedzieli. Może to tylko złudzenie, może za bardzo szukam jakichś powiązań, ale uważam, że powinniśmy im się dokładniej przyjrzeć – powiedziała Florentyna.

Monika przytaknęła.

– Mam ich wszystkie dane, zlecę chłopakom, żeby dokładnie prześwietlili całą czwórkę. Skąd pochodzą, kim są ich rodzice, od jakiego czasu tam mieszkają i czy jednak wiedzą coś więcej na temat zamordowanej. Możliwe, że po prostu się boją, stąd te asekuracyjne odpowiedzi, a możliwe, że jednak masz nosa.

Florentyna poczuła, jak w kieszeni jej kurtki zawibrował telefon. Wyciągnęła go i odruchowo skrzywiła się na widok imienia brata. Z powrotem wrzuciła komórkę do kieszeni i skinęła głową w stronę Moniki, że mogą wracać na komendę.

– Nie odbierasz? – spytała starsza aspirant.

Florentyna nie odpowiedziała.

– To twój brat, prawda?

– Tak – krótko skwitowała policjantka.

– Nie chcę się wtrącać, bo wiem, że to nie moja sprawa i każdy musi sam wiedzieć co i jak, ale może to najwyższy czas, żebyś z nim porozmawiała?

– Może. – Florentyna wzruszyła ramionami. – A może nie. Przepraszam cię, ale to naprawdę nie twoja sprawa. Po prostu muszę sobie to wszystko sama poukładać i dojść do takiego momentu, w którym będę w stanie na ten temat rozmawiać. Ale na razie to nie jest ten moment.

Monika zamilkła. Jeżeli Florentyna będzie chciała, to pewnie sama coś powie, nie ma sensu jej dociskać. Zresztą sama też nie lubiła wścibskich ludzi. Teraz najważniejsze było jak najszybsze ustalenie, kto zabił Zofię Pełę i Kordelię

Czaplińską i czy faktycznie było to zupełnie przypadkowe morderstwo, czy może jednak kryło się za tym coś więcej. Na komendę wróciły w milczeniu, chociaż obie słyszały, jak komórka Florentyny zadzwoniła jeszcze kilka razy.

Już u siebie w gabinecie śledcza rzuciła okiem na wyświetlacz. Cztery połączenia należały oczywiście do Kacpra, ale ostatnie do prokuratora Mączyńskiego. Wybrała odruchowo jego numer i zanim zdążyła się odezwać, on niemal krzyknął do słuchawki:

– O! Bardzo dobrze, że odebrałaś, bo chciałem wyciągnąć cię na spacer.

Florentyna nie wiedziała, jak zareagować. Na spacer? Z nim? Na spacer mogła pójść z jego psem, ale niekoniecznie z samym prokuratorem. Co prawda kiedy ostatnio u niego była, wypila aż dwie filiżanki kawy i zjadła trzy kawałki piernika, chociaż nadal wydawało jej się, że nie czuła żadnego smaku. Musiała jednak przyznać, że czas na Strzeszynie upłynął jej całkiem przyjemnie. Przez ułamek sekundy wydawało jej się nawet, że wszystko wraca do normy, że powoli jej ciało zaczyna się uspokajać, ale kiedy tylko przyszła do swojego mieszkania, znowu poczuła się tak, jakby ktoś wepchnął ją w przerębel. Położyła się w ubraniu do łóżka, szczelnie otuliła kocem, ale i tak było jej potwornie zimno. Znowu pojawiły jej się przed oczami twarze Mikołaja, Poli, Kacpra. Długo nie mogła zasnąć, a potem śniły jej się koszmary, których na szczęście rano nie pamiętała.

Ale i tak była potwornie zmęczona i nie miała siły, żeby wstać z łóżka.

– Nie wiem, ja chyba nie mam ochoty na spacer – powiedziała teraz.

– Ale ja dzwonię w imieniu Luli – powiedział szybko Mączyński.

Uśmiechnęła się. Bo chociaż strasznie słabo to zabrzmiało, to jednak w jakimś sensie ją rozbawiło.

– Dobrze – odpowiedziała, co zdumiało nawet ją samą. – Ale nie dzisiaj. Może jutro rano przed pracą. Pasuje ci ósma?

– Jak najbardziej. Przyniosę kanapki – obiecał jeszcze prokurator, a potem szybko się rozłączył, jakby w obawie, że Florentyna zmieni zdanie.

ROZDZIAŁ

7

Bora wiedziała, że nie może w nieskończoność odsuwać spotkania ze swoim bratem. W dalszym ciągu przecież go kochała, mimo tego, jak bardzo ją zranił. Próbowwała go zrozumieć, próbowała przekonać samą siebie, że Kacper zrobił to dla jej dobra. Chciał ją chronić, również z miłości. Ale to była najgorsza decyzja, jaką mógł podjąć. Florentyna od zawsze była przekonana, że nawet najgorsza prawda jest lepsza od życia w kłamstwie. Owszem, z całą pewnością istniała cała masa ludzi, która wolała być oszukiwana i żyć w barwnej bańce, ale Florentyna do nich nie należała. Prawda bowiem pozwalała jakoś przygotować się na przyszłość, pozwalała założyć odpowiednią zbroję, dzięki której można było przetrwać. Bo przecież człowiek tak naprawdę składa się z tego, jak sobie poradził z porażkami i nieszczęściami. To go ugruntowuje, umacnia i powoduje, że staje się coraz silniejszy.

Kacper zadzwonił do niej kilka minut po tym, jak spotkała się z Florianem Mączyńskim na krótkim, ale intensywnym spacerze, od którego humor jej się zdecydowanie poprawił. Nawet ją samą mocno to zaskoczyło. Możliwe jednak, że była to zasługa Luli, która biegła między nimi jak szalona, podskakiwała na tyle, na ile pozwalał jej ciężki kuper, i widać było, że jest szczęśliwa. Trudno było się nie uśmiechnąć na ten widok.

Prokurator Mączyński dotrzymał słowa i faktycznie przyniósł kanapki własnej roboty. Tym razem Florentyna odrobinę poczuła ich smak. Może nie był to kulinarny wstrząs, ponieważ jej kubki smakowe w dalszym ciągu nie pracowały, jak powinny, ale przynajmniej wiedziała, że ma ochotę na kolejną.

– Co do nich wpakowałeś?

– Pasztet własnej roboty z dodatkiem żurawiny oraz daktyli, pomidor z domowej szklarni oraz karmelizowaną cebulkę – odparł z dumą.

Florentyna uniosła ze zdumieniem brwi.

– Masz szklarnię? I co jeszcze? Stawik z rybkami i wybieg dla żółwi? A może plantację buraka cukrowego?

Zmarszczył czoło.

– Szklarnia to może zbyt dużo powiedziane. Po prostu jeden pokój w moim domu ma okna na południową stronę, zajmują dwie ściany, w związku z czym jest w nim trochę tak jak w ogrodzie zimowym albo palmiarni. Tropikalnie. No

więc stworzyłem tam malutki ogródek, tak naprawdę tylko dla własnych potrzeb. Jestem trochę skażony wspomnieniami z dzieciństwa, ponieważ moja ciotka posiadała ogród, w którym hodowała dosłownie wszystko. Zapamiętałem te smaki, a kiedy dotarło do mnie, że coraz trudniej kupić coś dobrego, postanowiłem je odtworzyć, przynajmniej na tyle, na ile mi się to uda. Co do wybiegu dla żółwi natomiast, to nie, nigdy o tym nie myślałem. Natomiast stawik z rybkami wcale nie brzmi głupio. Pomyślę nad tym.

Florentyna uśmiechnęła się pod nosem.

Mączyński wydawał jej się do tej pory dosyć sztywnym facetem, dobrym, jeśli chodzi o wykonywanie swojego zawodu, ale jednocześnie jakimś takim mało elastycznym. Zupełnie jakby jego jedynym zadaniem było dobieranie odpowiednich garniturów do koszul, a tych z kolei do krawatów, doprowadzenie każdej sprawy do końca, a przede wszystkim ściśle trzymanie się przepisów. Oczywiście, że ktoś taki miał prawo lubić pomidory i miał prawo oczekiwać od nich smaku, a jednak z jakiegoś powodu wydało jej się to dziwne. Sam spacer jednak sprawił jej dużą przyjemność, może dlatego, że chociaż było mroźno, to jednak świeciło słońce, a gałęzie drzew oklejone były srebrzystym śniegiem.

Wielu osobom pewnie wydawało się to bajkowe. Magiczne. Florentynie tylko ładne, ale to i tak było dużo. Nachyliła się w stronę Luli i pogłaskała jej odrobinę zmarznięty łebek. Naprawdę lubiła tego psa.

Kiedy pożegnała się z prokuratorem, chciała od razu jechać na komendę, ale właśnie w tym momencie zadzwonił Kacper. Wzięła głęboki oddech, odebrała i zanim cokolwiek powiedział, kazała mu przyjechać do parku Sołackiego. Nieprzypadkowo wybrała to miejsce na dzisiejszy spacer. Kiedy prowadziła śledztwo, lubiła znajdować się blisko miejsc, w których doszło do zbrodni. Wielokrotnie bowiem zdarzało się, że czasem takie przypadkowe odwiedziny przynosiły odpowiedzi na niektóre pytania albo przynajmniej podsuwały jakieś rozwiązania. Często bywało przecież tak, że mordercy wracali na miejsce zbrodni, zwłaszcza wtedy, kiedy czuli się w miarę bezpiecznie. Oględziny domu skończyły się jakiś czas temu, policja już tu nie przychodziła, z wyjątkiem śledczych w cywilu, wydawać by się mogło, że ten teren nie jest już obserwowany.

– Flo, ale poczekasz na mnie, prawda? Nie uciekniesz? – spytał zdenerwowany Kacper.

Dawno nie słyszała w jego głosie takiej niepewności i jednocześnie bezradności. Zrobiło jej się go nawet trochę żal, ale natychmiast zacisnęła pięści, kiedy przypomniała sobie, co takiego Kacper zrobił.

Przyjechał dziesięć minut później i niepewnym krokiem podszedł do swojej siostry. Widziała, że chciał ją objąć, przytulić się, ale coś go powstrzymało. Bardzo dobrze. Bo Florentyna nie miała na to najmniejszej ochoty.

– Flo, ja nawet nie wiem, od czego mam zacząć.

– Zawsze zaczynamy od początku – odpowiedziała spokojnie Florentyna. – Wiesz, czego żałuję najbardziej? Że dowiedziałam się o romansie mojego męża od jego kochanki, a nie od brata, który jest najbliższą mi osobą. To ty powinie-
neś do mnie przyjść i powiedzieć, że Mikołaj z kimś się spotyka. Nie wiem, jak bym zareagowała, co bym ci powiedziała, ale przynajmniej wiedziałabym, na czym stoję. A ty wszystko zataiłeś. Po co? Kogo chciałeś chronić?

Kacper spuścił głowę.

– Wiedziałem, jak bardzo kochasz Mikołaja i że wiadomość o romansie mogłaby cię zabić.

Florentyna parsknęła śmiechem.

– Wierz mi, przeżyłabym to.

– Zobaczyłem ich zupełnie przypadkowo, a potem po prostu śledziłem, żeby mieć pewność. I kiedy przekonałem się, że dla Mikołaja to coś więcej, postanowiłem, że najpierw porozmawiam z nim samym. Byłem pewny, że jeśli mu zagrozę, że o wszystkim ci powiem, opamięta się i zerwie z tą dziewczyną.

– Nie rozpoznałeś jej? Nie wtedy, nie kiedy spotykała się z Mikołajem, ale później, kiedy to ty już z nią byłeś.

– Widziałem ją tylko dwa razy w życiu, była w czapce i w ciemnych okularach. Przytulali się i całowali, i to mi tak naprawdę wystarczyło. Nigdy nie podszedłem bliżej, by zobaczyć jej twarz, mój błąd. Może to z nią powinienem porozmawiać? Może to jej powinienem powiedzieć, że rozwala rodzinę.

– Rodziny nie rozwala jedna osoba. Zazwyczaj zamieszanych jest w to znacznie więcej ludzi. Prawdopodobnie ja również, bo nie chciałam mieć dzieci. Wyobraź sobie, że Pola obiecała Mikołajowi, iż urodzi mu dziecko tak szybko, jak tylko to będzie możliwe. A więc było w tym trochę mojej winy. Ona obiecała mi coś, czego ja nie chciałam dać.

Kacper nie odezwał się, tylko wiercił butem w ziemi jakąś niewidzialną dziurę.

– Mogłeś mi powiedzieć – powtórzyła Florentyna. – Po prostu mogłeś z tym do mnie przyjść. Wybrałeś najgorszą z możliwych opcji. A wiesz dlaczego? Bo zginął niewinny człowiek. Nawet jeżeli mnie zdradzał, nawet jeżeli nie był w stosunku do mnie uczciwy, to nie musiał tracić życia. Na dodatek uciekłeś stamtąd. Zostawiłeś go, Kacper, a przecież nie mogłeś wiedzieć, co się z nim naprawdę stało.

– Pola tam była – szepnęła. – Wiedziałem, że sprowadzi pomoc. Wystraszyłem się, pomyślałem, że jeśli zniknę, to może okaże się, że nic takiego się nie stało.

„Jak dziecko”, pomyślała Florentyna.

– Rozmawiam z tobą tylko dlatego, że wiem, iż Mikołaj zginął na miejscu. Bo gdybym dowiedziała się, że którekolwiek z was mogło mu pomóc, ale oboje zostawiliście go w potrzebie, to przysięgam, że nie zobaczyłbyś mnie już nigdy w życiu, a Polę udusiłabym gołymi rękami. Bez względu na konsekwencje.

Kacper schował nagle twarz w dłoniach i zaczął płakać.

W każdej innej sytuacji Florentynie ścisnęłoby się na ten widok serce i próbowałyby zrobić wszystko, żeby pocieszyć brata. Ale nie w tej chwili. W tej chwili czuła ciągle jeszcze żal, złość i potworne rozgoryczenie, że tak wszystko musiało się skończyć. Dodatkowo przerażała ją fakt, że tak naprawdę ofiar tego układu mogło być znacznie więcej. Gdyby Poli udało się skutecznie otruć Kacpra, to dzisiaj nie miałaby również brata.

– Flo, czy ty mi kiedykolwiek wybaczysz? Czy chociaż spróbujesz zrozumieć, dlaczego postąpiłem tak, a nie inaczej?

Florentyna spojrzała w niebo. Było zaskakująco niebieskie, zupełnie nie grudniowe.

– Pewnie ci wybaczę, bo jesteś moim bratem. Ale pewnie też nigdy nie zapomnę, bo stało się coś, co jest nieodwracalne. Mikołaja nie ma. I bez względu na wszystko, co mi zrobił i jak miało zakończyć się nasze małżeństwo, nie mogę pogodzić się z tym, że już nigdy ze sobą nie porozmawiamy. A to zawdzięczam między innymi tobie.

Nie chciała tego powiedzieć, ale nie mogła się powstrzymać. Wiedziała, że nie powinna obarczać Kacpra całą winą, że może to dla niego okazać się czymś wyjątkowo ciężkim do udźwignięcia, ale musiała to z siebie wyrzucić. Owszem, Kacper czasem wymagał specjalnego traktowania, czasem trzeba było uważać na słowa, które się do niego kierowało, bo wszystko odbierał zbyt osobiście i czuł się zraniony, był jednak dorosłym mężczyzną, który powinien brać odpowiedzialność za to, co zrobił.

– Flo, czy ja cię mogę przytulić? – spytał cicho.

Florentyna podeszła do niego bliżej, ale wszystko, na co było ją stać, to poklepanie Kacpra po ramieniu. A potem odwróciła się i poszła w kierunku swojego samochodu. Musiała wziąć się w garść. Teraz najważniejsze było śledztwo i ustalenie tego, kto zabił Zofię Pełę oraz Kordelię Czaplinską. Wcześniej przy życiu trzymały ją rytuały. Codzienny dobór różowych ubrań, odpowiedni makijaż i manikiur, fryzura, poranne picie kawy z konkretnego kubka i całe mnóstwo innych rzeczy, które były powtarzalne i które nadawały dniu rytm. Teraz było jej wszystko jedno, w co się ubiera i z czego pije. To, co pozwalało jej jako tako funkcjonować, to była właśnie praca i tego postanowiła się kurczowo trzymać.

Kiedy wsiadła do samochodu, zdawało jej się, że widzi Franciszka Pełę, który miał na sobie różowy szalik i czapkę. Prawie zachichotała na ten widok, bo to przecież były jej ulubione kolory. Mężczyzna rozglądał się na boki, zupełnie jakby na kogoś czekał. Wyteżyła wzrok. Tak, to był on.

A potem wydarzyło się coś jeszcze dziwniejszego. Kilka chwil później podszedł do niego jeden ze studentów – Florentyna była niemal pewna, iż był to Tomek – i podał mu jakieś zawiniątko.

ROZDZIAŁ

8

To był bardzo wyraźny sen. Po raz pierwszy od dawna przyśniło jej się coś, co nie było związane z Mikołajem i całą tą historią. Po raz pierwszy od dawna przyśniło jej się również coś, co mogło być wskazówką w śledztwie. To był dobry znak, bo świadczył o tym, że Florentyna powoli wraca do świata żywych i zaczyna w nim jakoś funkcjonować.

Obudziła się dzisiaj bez ściśniętego serca i bez tej niechęci, że trzeba otworzyć oczy, wstać i zmusić się do życia. W dalszym ciągu nie miała ochoty poświęcać na swój wygląd więcej czasu, niż było to niezbędne, ale dzisiaj przynajmniej upięła włosy w luźny kok, posmarowała twarz kremem, a potem, chyba odruchowo, przeciągnęła usta błyszczkiem. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze i próbowała się uśmiechnąć. Odniosła wrażenie, że przez tych ostatnich kilka tygodni postarzała się o parę lat, ale może było to tylko złudzenie. Albo niewyspanie, brak makijażu, poszarzała cera i smutek, który ciągle jeszcze tlił się w jej oczach. Dzisiaj jednak nie przejmowała się swoim wyglądem, tylko skupiła na tym, co jej się przyśniło. Poszła do kuchni, sięgnęła po kubek i naląła do niego zimnej wody z kranu. Jakoś nie miała ochoty na ten cały rytuał z zaparzeniem espresso, poza tym chyba nie było już kawy.

Usiadła przy stole i zamknęła oczy.

Ten mebel z całą pewnością znajdował się w willi na Sołacz. Była to trzyszupładowa komoda na rzeźbionych, trochę wygiętych nóżkach. Miała złote uchwyty i cała była lakierowana na ciemny kolor. Stała w pokoju gościnnym i Florentyna bardzo dobrze ją kojarzyła. Była jednak niemal pewna, że nie znajdowało się na niej nic, żadna figurka, wazonik czy inny bibelot. Tymczasem we śnie pojawiła się na niej porcelanowa pasterka z owieczką leżącą u jej stóp. Florentyna nie widziała jej wcześniej, przynajmniej nie wśród rzeczy, które znajdowały się w willi. Wiedziała jednak, że musi to sprawdzić. Dopiła szybko wodę, a potem narzuciła na siebie kurtkę, włożyła buty, a na głowę wcisnęła czapkę, w kolorze różowym, ale innych po prostu nie posiadała.

Na dworze było zimno. W radiu zapowiadali minus dziesięć stopni, ale Florentynie wydawało się, że jest jeszcze chłodniej. Owinęła się szczelnie szalikiem, a potem wsiadła do samochodu, który potrzebował dobrych kilku minut, zanim całkowicie się rozmroził. Pojechała na Sołacz, do domu zamordowanej

i ze zdumieniem zobaczyła, że w środku świeci się światło. Najwyraźniej ktoś tam był.

Nacisnęła dzwonek przy furtce, ale nie musiała czekać, bo już po chwili na schodach ukazała się jakaś kobieta, patrząc na nią podejrzliwie.

– A pani do kogo? – zapytała trochę nieufnie.

Florentyna wyjęła legitymację służbową.

– Prowadzę śledztwo w sprawie podwójnego morderstwa – wyjaśniła.

Kobieta szeroko otworzyła oczy, zupełnie jakby nagle zobaczyła ducha, ale policjantka nie była tym zdziwiona. Wielu ludzi w ten sposób reagowało na odznakę lub informację, że właśnie rozmawia z kimś, kto prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa.

– Ale ja nie bardzo wiem, o co chodzi, może ja zapytam Franciszka, tylko że go w tej chwili nie ma, bo poszedł po bułki.

– Chciałabym wejść do środka i jeszcze trochę się rozejrzeć. Pan Franciszek mnie zna, nie sądzę, żeby miał coś przeciwko temu, natomiast ja chętnie poznałabym pani tożsamość? – Florentyna starała się brzmieć w miarę miło, żeby jeszcze bardziej nie odstraszyć swojej rozmówczyni.

– Julia Kolak, jestem przyjaciółką Franciszka. Dobrze, niech pani wejdzie, chociaż nie wiem, czy coś jeszcze można tutaj zobaczyć. Na razie posprzątałam nieco kuchnię, żeby można było w spokoju zjeść śniadanie. Nie lubię tu przychodzić po tym, co się wydarzyło, ale Franciszek upiera się, że tak trzeba. Nie wiem dlaczego. – Bezradnie rozłożyła ręce.

Florentyna nie odpowiedziała, weszła do domu i od razu skierowała swoje kroki w stronę pokoju gościnnego. Faktycznie, ciągle panował tu bałagan, chociaż część rzeczy już uprzątnięto, ale sporo nadal leżało rozrzuconych na podłodze. To, czego szukała, znalazła niemal od razu. Niemał na wprost stała komoda z jej snu, w kolorze ciemnego drewna, a na niej figurka dziewczyny z owieczką u stóp. Florentyna podeszła bliżej i wzięła ją do ręki. Z całą pewnością wcześniej jej tu nie widziała.

– Czy ta porcelanowa ozdoba zawsze tu była? – spytała, zwracając się do Julii Kolak.

Widać było, że kobieta intensywnie próbuje sobie coś przypomnieć, ale po chwili tylko pokręciła przecząco głową.

– Ja nie bywałam tu zbyt często, więc nie bardzo wiem. Tak naprawdę tylko raz jeden pani Zofia zaprosiła mnie razem z Franciszką na kolację, bo my nie znamy się zbyt długo, to może dlatego. Tutaj w tym domu dużo było takich rzeczy, różnych figurek, misek, wazonów, więc naprawdę nie wiem, czy to też. Podejrzewam, że tak.

– A jaką osobą była pani Zofia Pela? – spytała nagle Florentyna, raz jeszcze dotykając białej, porcelanowej dziewczyny.

Julia Kolak zakasłała.

- Tak jak mówiłam, nie znałam jej zbyt dobrze, ale wydawała mi się miłą starszą panią. Myślę, że bardzo kochała syna i chyba ucieszyła się, że sobie kogoś znalazł.

Florentyna przyjrzała jej się uważnie. Kobieta wyglądała na starszą od Franciszka, ale być może dlatego, że to on sprawiał wrażenie młodszego, niż był w rzeczywistości. Z całą pewnością miała ponad pięćdziesiąt lat. Półdługie ciemne włosy z naturalnymi siwymi pasemkami zakładała za ucho. Jej twarz pokryta była dość niedokładnym makijażem, widać było, że konturówka wyjechała poza kształt ust, a cień na powiekach trochę się rozmazał. Trudno było powiedzieć, czy była ładna, czy brzydka, chociaż sprawiała sympatyczne wrażenie.

- Jak się państwo poznaliście? - spytała, na co Julia zareagowała rumieńcem na policzkach.

- W pracy. Ja również pracuję jako teleankietka, tak jakoś od ośmiu miesięcy. No i najpierw zaczęliśmy rozmawiać, a potem Franciszek zaczął przynosić mi ciastka do biura, bo zawsze zapomniałam wziąć coś do jedzenia. A on bardzo dobrze piecze. Mówiłam mu nawet, że powinien uczyć się na cukiernika, bo mógłby w tym zawodzie osiągnąć więcej niż jako teleankieter, ale twierdził, że pewnie nie da rady. Raz czy dwa zaprosił mnie do kina i na spacer, no i tak to się jakoś zaczęło. Ja jestem po rozwodzie już wiele lat i długo byłam sama. Franciszek, mimo że jest taki trochę wolny, wie pani, co mam na myśli, to jednak chętnie opiekuje się drugą osobą. A ja bardzo tego potrzebowałam. I mimo że czasem mówi o sobie, że jest ciuśckiem, to ja tak nie uważam. Pewnie, że trochę jest nieporadny, ale i tak uroczy. I dobry. Naprawdę dobry.

Julia Kolak była dość zdenerwowana podczas tej rozmowy. Florentyna zauważyła, jak co chwila pocierała dłońią o dłoń, nerwowo odgarniała włosy z czoła i drapała się po policzku. Możliwe, że po raz pierwszy w życiu rozmawiała z policjantką i to na dodatek w miejscu zbrodni, możliwe też, że powody były zupełnie inne. Florentynie i tak wydawało się dziwne, że kobieta przebywa w domu, w którym niecałe dwa tygodnie temu zamordowano matkę jej przyjaciela, i na dodatek przygotowuje śniadanie. W takich przypadkach wiele osób nie chciało odwiedzać miejsca zbrodni, jakby w obawie, że duchy zmarłych mogą się w nim jeszcze unosić. Możliwe jednak, że Julia Kolak robiła to dla Franciszka, bo ją o to poprosił. Tak przynajmniej powiedziała.

On sam właśnie pojawił się w drzwiach wejściowych i również zdumiał na widok Florentyny.

- Ja panią pamiętam, dzień dobry. Czy ma pani dla mnie jakieś wiadomości? - zapytał bardzo grzecznie i dodatkowo jeszcze się uklonił.

Faktycznie był bardzo dobrze wychowany.

- Na razie nie mam żadnych konkretnych, ale czasem tak bywa, że trzeba wielokrotnie wrócić na miejsce zbrodni, żeby można było ruszyć dalej. Nie bardzo

wiem, jak to panu wyjaśnić, ale tak właśnie działałam. – Uśmiechnęła się.

Franciszek popatrzył na nią poważnym wzrokiem, a potem uprzejmym gestem poprosił do kuchni.

– Kupiłem świeże bułki oraz dżem truskawkowy. Czy może ma pani ochotę zjeść z nami śniadanie?

Florentyna zazwyczaj w takich sytuacjach odmawiała, ale teraz się zgodziła. Właściwie czemu nie?

– Chętnie. – Skinęła głową. – Ale zanim usiądziemy do stołu, chciałam pana zapytać o tę figurkę, która stoi na komodzie w pokoju gościnnym. Dziewczyna z owieczką. Wydawało mi się, że kiedy byłam tutaj po raz pierwszy, na komodzie nie stało nic.

Franciszek zamarł na chwilę, co nie uszło uwadze Florentyny. Zaciśnięła usta i zaczął mrugać oczami, zupełnie jakby gorączkowo zastanawiał się, co ma odpowiedzieć.

– To ja ją tam postawiłem. Tak. To ja to zrobiłem, wczoraj, a może przedwczoraj. Pomyślałem, że najwyższy czas, żeby zacząć sprzątać trochę w tym domu. Mama bardzo nie lubiła bałaganu i drażniło ją, kiedy coś nie stało na swoim miejscu. Mam bułki i dżem truskawkowy, czy ma pani ochotę? – powtórzył pytanie, najwyraźniej mając nadzieję, że jego odpowiedź zadowoli Florentynę.

Uznała, że na razie nie będzie go więcej naciskać, chociaż coś jej mówiło, że Franciszek kłamał. Pytanie tylko dlaczego? Usiadła wraz z nim i Julią przy dużym okrągłym stole i nie zaprotestowała, kiedy przekroił jej bułkę na pół, posmarował obficie masłem, a następnie nałożył na nią łyżeczkę dżemu. Zazwyczaj takie rzeczy robiła sama, ale możliwe, że dla Franciszka był to najwyższy stopień gościnności. Tak naprawdę ciekawe było obserwowanie jego zachowania. Wszystko, co robił, było bardzo wyuczone, zupełnie jakby powtarzał te czynności po wielokroć i starał się, żeby wypadły perfekcyjnie.

– Ja chyba zjem tylko pół bułki, Franku, jakoś nie jestem głodna – powiedziała cicho Kolak.

– To jest moja dziewczyna – oznajmił nagle Pela. – Bo chyba jeszcze nie zdążyłem jej przedstawić.

Julia tylko machnęła ręką, a potem szybko próbowała zmienić temat.

– A może ja zaparzę kawę? Mam jeszcze herbatę, owocową, chyba z dzikiej róży.

– Nie, dziękuję, wystarczy szklanka wody – odpowiedziała Florentyna, udając, że nie widzi, jak Julia zaciska pod stołem pięści, a potem nagle mocno wbija sobie paznokcie w nadgarstek lewej ręki.

Czego ona się bała?

ROZDZIAŁ

9

Zebranie o siódmej rano?

Kiedy Marcin się o tym dowiedział, tylko zgrzytnął zębami. Florentyna miała dziwne upodobania do spotykania się o najbardziej absurdalnych godzinach. Tak naprawdę mógł jeszcze spokojnie trochę pospać, ale oczywiście nie dostał takiej możliwości. W środę rano zjawił się odrobinę spóźniony, ale chyba w granicach rozsądku.

– Zaspaleś, ptaszku? – spytała celnie Florentyna, na co Marcin nie zareagował.

Zaczyna się. Wracają ptaszki, króliczki i inne ścierwa. I zupełnie nie rozumiał, dlaczego Monice wydawało się to zabawne i dlaczego uniosła w górę kciuk, zupełnie jakby podobało jej się to, co powiedziała szefowa. A przecież sama jej nie lubiła i nie cierpiała tych cholernych zdrobnień.

Florentyna wprawdzie nadal ubrana była w ciemny sweter i czarne spodnie, a jednak Monika wyczuwała, że coś się w niej powoli zmieniało. Zdecydowanie wolała dawną szefową, taką, która wkurzała, ale która nie zamykała się w sobie, odpychając wszystkich wkoło.

– Monika, dobra robota, to, co znalazłaś o Julii Kolak, jest całkiem interesujące – powiedziała teraz.

Julia Kolak, lat pięćdziesiąt siedem, rozwódka, matka dorosłego syna, który wyemigrował do Niemiec. Monice udało się ustalić, że przez kilka lat korzystała z pomocy socjalnej, a nawet przez jakiś czas mieszkała w schronisku dla bezdomnych. W ostatnim roku udało jej się znaleźć pracę i wynająć pokój. Niemniej jednak jej sytuacja finansowa pozostawiała wiele do życzenia.

– Kobieta mogła mieć motyw, chociaż zastanawiam się, dlaczego miałyby aż z takim okrucieństwem zamordować dwie staruszki. Ma jednak alibi, bo przebywała wtedy nad morzem, jej sprawy finansowe nie dają mi jednak spokoju – powiedziała Florentyna. – Jeżeli Franciszek odziedziczył po matce wszystko, a Kolak na chwilę obecną jest jego przyjaciółką, to ta sytuacja mogła okazać się dla niej wyjątkowo korzystna. Kobieta wprawdzie nie sprawia wrażenia agresywnej czy też przebiegłej, ale pozory mogą mylić. Możliwe, że pasuje jej układ z Franciszkiem, nawet jeżeli żyją na kocią łapę, ale równie dobrze mogło być tak, że pani Zofia Pela nie patrzyła przychylnym okiem na ten związek. Wtedy

rozwiązanie nasuwało się niejako samo. Nie ma nieprzychylniej niedoszłej teściowej, nie ma żadnych niesnasek. A pieniądze zostają w rodzinie. To oczywiście bardzo śmiała teoria, nie mamy na nią żadnych dowodów, uważam jednak, że powinniśmy przyjrzeć się Julii Kolak dokładniej – zakończyła Florentyna.

– Prosiłaś też o to, żebyśmy nieco prześwietlili studentów, którzy mieszkają w tamtej okolicy – odezwał się Antek. – Na razie nie mam żadnych konkretów, ale udało mi się ustalić, że dziewczyna pochodzi z Krakowa, z bogatej rodziny, stąd pewnie nie ma żadnych kłopotów z wynajmowaniem takiego miejsca. Pozostała trójka to również dzieciaki z nadzianych domów, chociaż muszę coś jeszcze sprawdzić.

– Co takiego? – chciała wiedzieć Florentyna.

– Podobno jeden z tych chłopaków jest często widywany w kasynie, ale to nie jest sprawdzona informacja, dlatego na razie chciałbym dalej powęszyc – odpowiedział policjant.

Florentyna skinęła głową.

– Marcin? A ty masz coś nowego? – Spojrzała pytająco na Miłocha.

Zwlekał chwilę z odpowiedzią, jakby czekając na to, aż szefowa go skrytykuje, ale niestety milczała. Szkoda, bo mógłby ją fajnie zgasić.

– Jeśli chodzi o domy aukcyjne w Polsce, to chwilowo nie pojawiło się w nich nic nowego z porcelany z Chodzieży czy Ćmielowa. Ale – efektownie zawiesił głos – zupełnie przypadkiem dowiedziałem się, że pani Zofia Pela była jedną z ulubionych klientek domu aukcyjnego Polswiss Art w Warszawie. Często tam jeździła i chętnie brała udział w aukcjach. Sama niczego nie sprzedawała, była raczej z tych, którzy kupowali. Dowiedziałem się, że każdą nową rzecz, którą nabyła, dokładnie fotografowała i to tradycyjnym aparatem, a nie żadnym telefonem, a zdjęcia wklejała potem do specjalnych albumów. Facet z domu aukcyjnego twierdzi, że pani Zofia Pela miała całą kolekcję takich albumów, w których znajdują się fotografie wszystkich wartościowych rzeczy z jej domu.

Florentyna szeroko otworzyła oczy.

– Nieźle – powiedziała z uznaniem. – W ogóle nie przyszło mi do głowy, żeby szukać w jej domu zdjęć. Ale możliwe, że to w nich kryje się przynajmniej częściowa odpowiedź na to, co się stało. Czy przyjeżdżała na te aukcje sama, czy ktoś jej towarzyszył?

Marcin zerknął do notatek.

– Z całą pewnością nie towarzyszył jej syn, ale faktycznie, nie była sama. Przez jakiś czas pojawiała się z pewnym mężczyzną, ale niestety nie udało mi się ustalić jego tożsamości. Przez ostatnie dwa lata z kolei przyjeżdżała ze swoją koleżanką, również starszą osobą, jak powiedział ten facet. Podejrzewam, że mogła to być jej zamordowana przyjaciółka Kordelia Czaplińska.

Florentyna zmrużyła oczy.

- Musimy ustalić zatem, kto towarzyszył Zofii wcześniej. Kim był ten mężczyzna, jak się nazywał, skąd pochodził i co się z nim teraz dzieje. Ja tymczasem wybiorę się raz jeszcze do domu zamordowanej i tym razem szczegółowo przeszkuję każde pomieszczenie. Być może Franciszek Pela będzie mógł mi w tym pomóc, sam twierdził, że jego matka lubiła porządek i wszystko miała zawsze poukładane. Może wie, gdzie znajdują się albumy. Dobra robota. - Powiodła wzrokiem po wszystkich zebranych. - Jesteście naprawdę bardzo pracowitymi myszkami - dodała jeszcze, udając, że nie widzi krzywiącego się Marcina, trochę zarumienionej twarzy Antka oraz uśmiechniętej Moniki.

Kiedy wyszli, podeszła do okna i otworzyła je na oścież. Już w czasie rozmowy ze swoją grupą dochodzeniową poczuła, że robi jej się gorąco, zupełnie jakby nagle znalazła się w saunie. Powiew mroźnego powietrza dobrze jej zrobił. Wzięła głęboki oddech i na moment zamknęła oczy. Nie czuła ani zimna, ani wiatru, tylko jakiś chwilowy spokój, którego tak bardzo potrzebowała. Próbowana oddalić od siebie wszystkie dźwięki dobiegające z zewnątrz, wyciszyć się, odizolować od otoczenia. Wiedziała, że nie powinna za bardzo się starać, bo wizje, które czasami ją nawiedzały, nigdy nie przychodziły na zawołanie. Nie można było ich wymusić, nie można było ich przywołać. Pojawiały się same z siebie. Najczęściej właśnie wtedy, kiedy Florentyna była spokojna, a jej myśli niczym niezmacone.

Raz, dwa, trzy...

Początkowo wszystko było ciemne, chociaż i tak zdawało jej się, że przebywa w czyimś domu. Poszukała po omacku ściany, a potem się o nią oparła. Nagle z ciemności zaczęły wyłaniać się kontury poszczególnych przedmiotów. Szafa, łóżko, komoda, krzesła, lampy, a nawet porcelanowe figurki. Nie rozpoznała żadnej z nich, ale możliwe, że wcale ich nie szukała. Na podłodze zauważyła karton, którego jeszcze przed chwilą tu nie było. Podeszła do niego bliżej, otworzyła i w tym momencie w górę pofrunęło całe mnóstwo kolorowych zdjęć. Florentyna próbowała je złapać, ale dokładnie w tym momencie ktoś otworzył drzwi od jej gabinetu i wizja zniknęła bezpowrotnie.

Odwróciła się gwałtownie, trochę zła, a trochę rozczarowana.

- To ja - odezwał się prokurator Mączyński i od razu zmarszczył czoło. - Widzę, że ci przeszkodziłem. Ale wpadłem do was przy okazji innej sprawy, którą prowadzę, i chciałem po prostu się przywitać.

W każdej innej sytuacji Florentyna pewnie byłaby na niego wściekła, ale teraz nie czuła już gniewu. Coś jednak udało jej się zobaczyć, a to i tak był duży sukces w porównaniu z ostatnimi tygodniami. Zupełnie jakby jej organizm zaczynał znowu normalnie funkcjonować, a przynajmniej tego próbował.

- Nic się nie stało - odpowiedziała tylko. - Jak tam Lula?

Mączyński trochę się skrzywił, co nie uszło uwadze Florentyny.

- Co jest? - spytała szybko.

– No właśnie nie wiem. Od kilku dni jest osowiała i nie do końca ma ochotę na spacer. I naprawdę nie jest to żaden fortel z mojej strony, żadna pułapka mająca na celu zwabienie cię na kolejną rundę po parku. Mam wrażenie, że coś jej jest, więc w końcu zarezerwowałem termin u weta. Dzisiaj po południu melujemy się u Malinki.

Florentyna z trudem powstrzymała uśmiech.

– Malinki? To imię?

– A nie, wyobraź sobie, że nazwisko. Piotr Malinka. Szczerze mówiąc, wybrałem go również ze względu na nazwisko, chociaż przyznaję, że sprawdziłem komentarze i opinie w Internecie i okazało się, że są absolutnie pozytywne. No i teraz jesteśmy tam stałymi bywalcami.

– Zadzwoń do mnie po wizycie, okej? Chciałabym wiedzieć, co z Lulą.

Skinął głową, sięgnął do torby, a następnie wyjął z niej coś zapakowane w szeleszczący kawałek papieru.

– Dokarmiasz mnie? – upewniła się Florentyna.

Prokurator wzruszył ramionami.

– Po prostu usmażyłem trochę zbyt dużo racuchów z bananami i jabłkami, i pomyślałem, że zanim je wyrzucę, to przecież ktoś jeszcze mógłby ich spróbować.

A potem wyszedł, puszczając do niej oko.

Florentyna pociągnęła nosem. Nie poczuła zapachu placuszków, ale dotarło do niej, że chyba jest głodna.

Kolejny dobry znak.

ROZDZIAŁ

10

Julia Kolak nie miała łatwego życia, przynajmniej przez ostatnich dwadzieścia lat. Niepotrzebnie wyszła za mąż za tamtego faceta, ale potrzebowała ojca dla swojego syna. Kiedy była w ciąży z Miśkiem, jego ojciec po prostu dał nogę i tyle go widzieli. Wychowywała więc dziecko sama, co bardzo szybko okazało się trudniejsze, niż myślała. Niemal cały czas brakowało jej pieniędzy, a kiedy już znalazła jakąś pracę, to albo ktoś ją oszukał, albo oczekiwał czegoś w zamian. Utrzymywała się z zasiłku, trochę pomagała jej dalsza rodzina, ale po jakimś czasie i ona umyła ręce. Nawet to rozumiała, ile można wysłuchiwać narzekań ubogiej krewnej, która kompletnie nie radzi sobie z codziennością.

Kiedy Michał miał siedem lat, poznała Bogdana i wtedy w jej życiu rozbłysło światełko nadziei. Bogdan początkowo wydawał się ułożonym, sympatycznym, a przede wszystkim obrotnym facetem. Pracował w jakiejś firmie jako magazynier i często przynosił do domu różne rzeczy. Julia nie wiedziała wtedy, że po prostu je kradł, a ona cieszyła się z każdego drobiazgu jak głupia. Była też na swój sposób szczęśliwa, że Michał będzie miał wreszcie kogoś, kto zastąpi mu ojca. Problem polegał jednak na tym, że Bogdan nie chciał mieć nie tylko własnych dzieci, ale także cudzych. Traktował więc syna Julii wyjątkowo oschle, co ona początkowo brała za pewien rodzaj nieśmiałości czy też potrzebę oswojenia się z nową rzeczywistością. Ale lata mijały, a w ich relacjach niewiele się zmieniło. A jeżeli już, to na gorsze. Bogdan kradł dalej, nie tylko rzeczy z magazynu, czasem wybierał się z kumplami na tak zwane „gościnne występy” i rabował kioski, sklepiki, a nawet ludzi, w tym najchętniej starsze panie, które łatwo było nabrać. Potem przyszła kolej na płądrowanie mieszkań. Wpadł kilka lat temu, a kiedy Julia się o tym dowiedziała, kazała mu się natychmiast wynosić z ich życia. Nie zdążyła jednak dokończyć zdania, bo Bogdan zaaplikował jej tak siarczysty policzek, że prawie zemdląca. Ostatecznie wylądował w więzieniu, ale to w żaden sposób nie polepszyło sytuacji Julii. Wysyłał jej przepaszające listy, w których obiecywał, że kiedy tylko wyjdzie, wynagrodzi jej wszystkie swoje grzechy.

Ale Julia nie chciała już na niego czekać.

Znowu została sama, z długami, bez pracy. Ledwo wiązała koniec z końcem, ale Michał ukończył liceum techniczne, zrobił też kurs mechanika samocho-

wego i ostatecznie wyemigrował za granicę, do Niemiec. Przez pierwsze dwa lata próbował gdzieś się załapać i to był chyba najgorszy okres w życiu Julii, która w Polsce straciła dach nad głową. Nie chciała jednak obarczać tym syna, nie przyznała mu się nawet, że chwilowo mieszka w schronisku dla bezdomnych. Z czasem jednak Michał dostał dobrą pracę i zaczął przysyłać jej pieniądze, ona zaś zatrudniła się w dwóch firmach jako pomoc sprzątająca. Wynajęła pokój w niewielkim mieszkaniu, bo tylko na to było ją stać. Kiedy natrafiła na ogłoszenie, że szukają teleankieterów, postanowiła ubiegać się o tę posadę. Trochę poczytała na ten temat, trochę ubarwiła własny życiorys. W dniu rozmowy kwalifikacyjnej wybrała się najpierw do drogerii, umalowała wystawionymi tam kosmetykami, spryskała perfumami i tak przygotowana ruszyła na spotkanie.

Poszczęściło się jej i wreszcie zaczęła jako tako zarabiać. A potem poznała Franciszka i pomyślała, że być może skończyła się w jej życiu zła passa i teraz przyszedł czas na coś lepszego.

Zdawała sobie oczywiście sprawę, że Franciszek jest niepełnosprawny intelektualnie, ale w stopniu lekkim, dlatego nie miał żadnych problemów z wykonywaniem codziennych czynności, takich jak ubieranie się, higiena osobista czy przygotowywanie posiłków, wręcz przeciwnie, zwłaszcza to ostatnie potrafił świetnie robić. Nie miał też większych trudności w porozumiewaniu się z innymi i podtrzymywaniu rozmowy, nawet jeżeli niektórych słów po prostu nie rozumiał. Jeśli chodzi o dojrzałość intelektualną i społeczną, znajdował się na poziomie nastolatka, ale Julii w żaden sposób to nie przeszkadzało. Najważniejsze, że był w stosunku do niej delikatny, czuły i sprawiał wrażenie, jakby chciał się nią opiekować. Trochę peszył go fakt, że nie wszystko rozumie, ale wtedy wyciągał ten swój zeszyt i zapisywał słowa, które potem próbował zapamiętać. Od kilku lat mieszkał sam, a jego mieszkanie znajdowało się niedaleko rodzinnego domu na Sołacz.

Kiedys przyznał się z dumą Julii, że wyprowadzka to była jego osobista decyzja i że mama bardzo go za to pochwaliła. Matkę odwiedzał niemal codziennie, ale w każdej chwili mógł wrócić do siebie. Julia chętnie do niego przychodziła. Dzieliła mieszkanie z trzema innymi osobami, więc nie było mowy o żadnej intymności. Poza tym lokum Franciszka wydawało się dużo ładniejsze, jasne i przestronne, mimo że miało tylko dwa pokoje.

Niepotrzebnie obwiniał się o śmierć matki, niepotrzebnie myślał, że to dlatego, iż wyprowadził się z domu albo pojechał na krótki urlop.

Franciszek Peła zdaniem Julii Kolak był wyjątkowo dobrym człowiekiem, a takich ludzi należało szanować i chronić, zwłaszcza kiedy znaleźli się w tak trudnej sytuacji jak on teraz.

Julia wybrała się na Sołacz w środę przed południem, pracowała bowiem tego dnia na drugą zmianę. Chciała powoli zacząć ogarniać ten cały bałagan, chociaż Franciszek początkowo powiedział jej, żeby niczego nie ruszała. Z cza-

sem jednak ten nieporządek zaczął przeszkadzać również jemu, ostatecznie Zofia Pela nie lubiła rozgardiaszu, u niej w domu zawsze wszystko lśniło.

Już z daleka zobaczyła policjantkę stojącą przy bramie. Wiedziała, że nadal nie odnaleziono mordercy i że policja jeszcze niejednokrotnie będzie się tutaj kręcić, a jednak poczuła suchość w gardle i jakiś niepokój, który przeszył jej całe ciało.

– Dzień dobry! – Ukłoniła się jednak. – Franciszka nie ma w domu, jest w pracy, a ja przysłałam trochę tu posprzątać – wyjaśniła szybko.

Florentyna skinęła głową.

– Muszę sprawdzić kilka rzeczy, mam nadzieję, że pan Franciszek nie miałby nic przeciwko, ale może pani oczywiście do niego zadzwonić.

Julia Kolak machnęła ręką.

– Nie, proszę wejść do środka, powiem mu o wszystkim później. Nie sądzę, żeby był zły, ale Franek czasami denerwuje się różnymi rzeczami, zanim dotrze do niego, że są one konieczne i że nie ma powodu, żeby się niepokoić. Wie pani, co mam na myśli?

Florentyna się uśmiechnęła.

– Czy orientuje się pani może, gdzie w domu znajdują się albumy ze zdjęciami, które należały do zamordowanej?

Julia aż się wzdrygnęła na dźwięk tego ostatniego słowa.

– Nie, tak jak już mówiłam, nie bywałam tu zbyt często, więc trudno mi na takie pytanie odpowiedzieć. Chyba będzie musiała pani poradzić sobie sama.

Florentyna zaczęła poszukiwania od tego pokoju, który ujrzała w swojej wizji. Od razu go rozpoznała, to było coś w rodzaju biblioteki znajdującej się po lewej stronie korytarza. Stały tam szafa, komoda, biurko, duże regały z książkami i dwie lampy. To wszystko widziała w swojej głowie, podobnie jak zdjęcia, które nagle wyfrunęły z kartonu stojącego na podłodze. Tyle że tego ostatniego nigdzie nie było. Wiele książek leżało na ziemi, złodziej najwyraźniej szukał czegoś w pośpiechu, nie przejmując się tym, że plądruje mieszkanie. Szuflady komody były wysunięte, leżały w nich obrusy oraz ręcznie dziergane serwetki, oczywiście teraz wygniecione, kilka było wyrzuconych na podłogę. W tym wszystkim zastanawiające było jedno – technicy przyznali, że włamywacz praktycznie nie zostawił żadnych śladów.

Florentyna przypomniała sobie swoją rozmowę z Kubą, nowym technikiem, tym o którym wspominał Marcin. Facet faktycznie był niezwykle drobiazgowy i widać było, że to, co robi, wykonuje z pasją. Był niskim i szczupłym mężczyzną z krótko ostrzyżonymi włosami i oczami niebieskimi jak wypogodzone niebo. Kiedy mówił, cały aż się spinał, zupełnie jakby chciał przekazać jak najwięcej szczegółów, a jednocześnie pokazać, jak wielkie znaczenie ma grzebanie w czymś, czego inni nie widzą.

– Ale podobno nie macie żadnych śladów – ani biologicznych, ani daktyloskopijnych, ani traseologicznych? – spytała Florentyna.

Kuba się roześmiał.

– Nie, no pewnie, że mamy, tyle że większość należy albo do zamordowanej, albo jej przyjaciółki, albo syna. Jak na razie zero osób trzecich, to fakt. Ale ja podchodzę do tego inaczej. Pamiętaj, że ludzie są omylni. Każdy przestępca zostawia jakiś ślad. W moim mniemaniu brak śladu też jest śladem.

Florentyna pomyślała, że coś w tym jest, chociaż jak na razie nie mieli w rękę żadnych konkretnych.

– Sprawdziłem nawet ślady mechanoskopijne, czyli zmiany geometrii, w tym konkretnym przypadku odcisnięcia na fotelu w pokoju gościnnym, ale tak, jak już mówiłem – należały do zamordowanej. Wychodzę jednak z założenia, że wszystko to, co udało mi się ustalić na miejscu zbrodni, jest mimo wszystko jakimś kawałkiem układanki, tyle tylko że jeszcze nie umiem go nigdzie dopasować. Przestępca był sprytny. Nawet bardzo. Ale wiesz co? Trzeba po prostu myśleć jak on.

Tego akurat nie musiał jej tłumaczyć. Bardzo często pojawiając się na miejscu zbrodni, próbowała spojrzeć na miejsce oczami mordercy. Zastanović się, co zrobił najpierw i dlaczego. Czy przed zamordowaniem coś powiedział, czy usiadł na moment, czy zabił od razu, bez zawahania?

– I co?

– Zastanovićła mnie duża liczba rozbitych rzeczy. Oczywiście wszystkim zrobiłem zdjęcia, bo ciekawi mnie, jak one się zniszczyły, skąd spadły, w którą stronę poleciały, czy ktoś rzucił nimi celowo o ziemię, czy był to przypadek?

– Z tego domu zginęło wiele wartościowych przedmiotów. Te rozbite czy rozrzucone to zwykle bibeloty, które nie mają żadnej wartości.

Kuba skinął głową.

– Z ich układu wywnioskowałem, że morderca nie do końca działał na oślep. Prawdopodobnie pozrzucał te wszystkie rzeczy właśnie po to, żeby stworzyć wrażenie chaosu, zasugerować, że zrobił to ktoś, kto nie do końca orientował się, czego szuka, dlatego zdemolował cały dom. Ale bardziej prawdopodobne jest, że on doskonale wiedział, po co tam przyszedł. To był taki chaos zaplanowany, a zatem nie była to zbrodnia nieprzygotowana. Ktoś musiał bardzo się postarać, żeby praktycznie nie zostawić żadnych śladów, a jednocześnie stworzyć wrażenie włamania. Ale ja się nie poddam. Ciągle jeszcze mam całe mnóstwo śladów, których pochodzenia nie udało mi się ustalić. Jak tylko będę coś miał, natychmiast się do ciebie odezwę.

Chaos zaplanowany...

Florentyna zajrzała w bibliotece dosłownie wszędzie, ale nigdzie nie trafiła na albumy. Postanovićła dokładnie przejrzeć inne pokoje, a na koniec raz jeszcze piwnicę. Ostatecznie to tam znajdowało się najwięcej szpargałów denatki.

A jednak szczęście dopisało jej znacznie szybciej. Kiedy weszła najprawdopodobniej do sypialni zamordowanej kobiety, od razu rzuciła jej się w oczy duża zielona szafa z otwartymi na oścież drzwiami. Większość półek była pusta, kilka było wypełnionych poprzewracanymi książkami, ale w dolnej części leżały duże albumy obciążone ciemnopopielatym materiałem.

– Bingo – mruknęła do siebie.

Marcin został dobrze poinformowany przez faceta z domu aukcyjnego, w środku faktycznie znajdowały się setki udokumentowanych zakupów pani Zofii. Świeczniki, porcelanowe figurki, popielniczki, cukiernice, filizanki, srebrne sztuce, patery, najróżniejsze bibeloty, których zastosowania policjantka jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić, a także trochę biżuterii. Wszystko było też dokładnie opisane, a raczej wykaligrafowane eleganckim pismem, zapewne samej pani Zofii.

Duża figura „Słoń”, ZP Chodzież, lata sześćdziesiąte. Stan bardzo dobry, minimalne uszczerbienie na prawym uchu. Sygnowana na spodzie znakiem wytwórni. Wymiary – wysokość 21,4 cm, długość – 30 cm, szerokość – 12 cm. Bardzo rzadki okaz. Przy zakupie otrzymałam certyfikat autentyczności.

Para figurek „Sówki” – lata sześćdziesiąte, Manufaktura Chodzież, stan idealny, wymiary – wysokość 12 cm.

Stary i rzadki wazon „Pawie oko”, Picasso, Ćmielów. Obwód w najszerszym miejscu 35 cm, wysokość 15 cm, stan bardzo dobry, minimalne otarcie w górnej części.

Takich zdjęć i opisów było całe mnóstwo. A to tylko świadczyło o tym, że kolekcje, które posiadała pani Zofia Pela, mogły faktycznie okazać się cennym łupem dla złodzieja. Większość z rzeczy, które widniały na zdjęciach, była prawdopodobnie nie do odnalezienia w tym domu, z wyjątkiem pasterki z owieczką, pochodzącej z lat pięćdziesiątych, z Ćmielowa, która nagle jakimś cudem się odnalazła. I chyba była to jedyna cenna figurka, którą Florentyna tu zobaczyła. Cała reszta bibelotów, które nadal znajdowały się w pokojach, prawdopodobnie była bezwartościowa i złodziej doskonale o tym wiedział. Tylko dlaczego został pasterkę?

– Udało się pani znaleźć to, po co przyszła? – Julia Kolak weszła do pokoju. Na rękach miała długie gumowe rękawiczki, włosy schowane pod czepkiem, a na stopach filcowe kapcie. – Muszę tu posprzątać, bo dłużej tak przecież nie można – szybko wyjaśniła swój strój.

- Z fotografii, na które się natknęłam, wynika, iż matka pana Franciszka była zagorzałą kolekcjonerką i posiadała naprawdę dużo cennych rzeczy. To wszystko jednak zniknęło, a zatem mniej więcej wiemy, po co przyszli tu złodzieje. Zastanawia mnie tylko ta figurka, którą widziałam ostatnim razem, kiedy państwa odwiedzałam. Wydaje mi się, że wcześniej jej tu nie było, a potem nagle pojawiła się na komodzie.

Julia Kolak bezradnie potrząsnęła głową.

- Ja w ogóle nie pamiętam tych wszystkich rzeczy, owszem tutaj wszędzie stało mnóstwo drobiazgów, ale nie kojarzę jakie i gdzie. Myśli pani, że morderca to wiedział?

Florentyna przygryzła wargę.

- Wiedział, że ten napad mu się opłaci. Przepraszę teraz panią na chwilę, muszę jeszcze coś załatwić, ale obawiam się, że to w dalszym ciągu nie jest moja ostatnia wizyta w tym domu.

- Rozumiem - odpowiedziała Julia. - Naprawdę rozumiem. I przepraszam, że nie mogę bardziej pomóc.

Florentyna pożegnała się, a potem kierowana jakimś odruchem ruszyła w stronę domu zamieszkiwanego przez studentów. Zastała tylko Łukasza, który poinformował ją, że pozostała trójka jest na zajęciach.

- A wiesz dokładnie na jakiej uczelni?

Łukasz podał jej plany zajęć, które wisiały na lodówce, i powiedział, że jeśli chce, może zrobić zdjęcia. Pół godziny później Florentyna pojawiła się na ulicy Bukowskiej, na wydziale lekarskim, na którym odnalazła Tomka.

- Kilka dni temu spotkałeś się w parku z Franciszkiem Pełą - powiedziała od razu, zanim chłopak zdążył zareagować. - O czym rozmawialiście?

Tomek poczerwieniał i widać było, że zastanawia się nad odpowiedzią.

- Przypadkiem na niego wpadłem, więc pewnie powiedziałem, że współczuję mu z powodu śmierci mamy.

- Załóżmy - odpowiedziała Florentyna. - Możliwe też, że nie pamiętasz. Ale z całą pewnością pamiętasz, że wręczyłeś mu wtedy małe zawiniątko. Co to było?

- Nie przypominam sobie, żeby cokolwiek miał ze sobą - odpowiedział natychmiast Tomek.

- To ja ci przypomnę. To była figurka porcelanowej pasterki z małą owieczką u stóp. Wyrób z Ćmielowa, dosyć cenny. Chyba powinniśmy o tym porozmawiać, nie uważasz?

ROZDZIAŁ

11

Tomek spojrzął spode łba na Florentynę i tylko wzruszył ramionami.

– Z tego, co wiem, to przysługuje mi prawo do adwokata. Więc zadzwonię do ojca, a on wszystko załatwi. Niepotrzebna szopka.

Florentyna się uśmiechnęła.

– Bardzo proszę. Zanim jednak zaangażujemy w to wszystko twojego ojca, może zastanów się, czy nie łatwiej i szybciej byłoby po prostu powiedzieć prawdę. Bo być może twój ojciec będzie w stanie ci pomóc w przypadku przesłuchania, tylko nie bardzo wiem, jak wytłumaczysz mu się z wysokich sum przegranych w kasynie.

Tym razem Tomek zbladł i widać było, że zupełnie nie wie, co powiedzieć. Wahał się na tyle długo, że w końcu do niego dotarło, iż jakiegokolwiek protestowanie czy udawanie, że nie ma pojęcia, o co chodzi, mija się z celem.

– Skąd pani wie? – warknął.

Policjantka wzruszyła ramionami.

– To moja praca. Wyobraź sobie, że nie polega ona tylko na śledzeniu mordercy, bo tak naprawdę zanim do tego dojdzie, trzeba sprawdzić dosłownie wszystko. A to wiąże się czasem z nieprawdopodobną liczbą przesłuchań, poszlak, częstego szukania na oślep, kombinowania, łączenia faktów, doszukiwania się podobieństwa między wątkami. Tak naprawdę to każdy może być podejrzanym, nawet ty.

Tomek zacisnął pięści.

– Chyba sobie pani nie wyobraża, że ja mógłbym kogokolwiek zabić? – prawie krzyknął. – To, że rozmawiałem z Franciszkiem, o niczym jeszcze nie świadczy.

– Sama rozmowa nie. Ale to, co mu przyniosłeś podczas ostatniego spotkania, już rzuca trochę inne światło na całość, musisz to przyznać. Bo niby dlaczego odniosłeś mu figurkę? Chociaż właściwie powinnam zadać to pytanie inaczej – w jaki sposób znalazła się ona w twoim posiadaniu?

Tomek zaczął się trząść, choć próbował to ukryć. Florentyna popatrzyła na niego jeszcze przez chwilę w milczeniu, a potem zaproponowała, żeby podjechali razem na komendę.

– Ale dlaczego właśnie tam? – wystraszył się chłopak. – Przecież jeżeli będę oficjalnie przesłuchiwany, to trochę tak, jakbym był głównym podejrzanym. A ja naprawdę nikogo nie zabiłem.

– To tym bardziej nie powinieneś się niczego obawiać. Niemniej jednak muszę dowiedzieć się paru szczegółów, bo być może dzięki nim uda mi się ustalić, kto zabił Zofię Pełę. Jeżeli oczywiście nie byłeś to ty – dodała.

Tomek rozejrzał się wkoło, zupełnie jakby szukał jakiegokolwiek możliwości ucieczki. Ale mimo iż na uczelni przez korytarz przewijało się całe mnóstwo ludzi, miał wrażenie, że był tutaj sam. Naprzeciwko tej okropnej kobiety, która podejrzewała go o coś, czego nie zrobił.

– Muszę tam jechać? – spytał cicho.

Florentyna skinęła głową.

– Myślę, że tak będzie lepiej. Usiądziemy sobie w spokoju, bez żadnych świadków i tego uczelnianego zamieszania, a ty mi po prostu o wszystkim opowiesz. Możliwe, że to, co masz do powiedzenia, faktycznie jest niewinne albo okaże się jednym wielkim zbiegiem okoliczności. Im szybciej to wyjaśnimy, tym lepiej zarówno dla ciebie, jak i dla całego śledztwa.

Tomek przez całą drogę na komendę nie odezwał się słowem. Skubał za to rękaw kurtki tak intensywnie, aż w końcu zrobił w nim dziurę. Coraz silniej pachniał też strachem, co Florentyna mimo osłabionego węchu potrafiła wyczuć, bo ten zapach znała doskonale. Mieszanka potu, czegoś kwaśnego i jednocześnie gorzkiego. To oczywiście nie musiało jeszcze o niczym świadczyć, ale z całą pewnością chłopak coś ukrywał i należało to z niego wydobyć.

Kiedy usiedli naprzeciwko siebie na czarnych krzesłach, Florentyna ustawiła pośrodku stołu dyktafon, na którego widok Tomek tylko się wzdygnął.

– Musimy nagrywać?

– To również dla twojego dobra. Przynajmniej wiadomo, że nie przekreślę twoich słów, niczego nie dodam od siebie i nie zmienię. Na tej taśmie zapiszesz się dokładnie to, co powiesz.

Chłopak odchrząknął.

– Z tym kasynem to sam nie wiem, jak się w to wplątałem – zaczął w końcu. – Poszedłem tam kilka miesięcy temu po raz pierwszy i udało mi się wygrać całkiem przyzwoitą sumkę. Po jakimś czasie znowu wygrałem i pomyślałem sobie, że po prostu mam szczęście. I że chyba warto zaryzykować, skoro los tak chce.

– Tyle że kolejnych szczęśliwych wieczorów już nie było, prawda? – spytała spokojnie Florentyna.

Tomek pociągnął nosem.

– No, nie było. Sam nie wiem, dlaczego dałem się w to wciągnąć. Przewaliłem pieniądze od rodziców na życie i postanowiłem je odzyskać. Poprosiłem ojca, żeby nie przelewał kasy za czynsz właścicielowi domu, bo on woli tym razem gotówkę. No więc ojciec przelał te pieniądze na moje konto.

– A ty je znowu przegrałeś.

– Coś tam wygrałem, ale mało. I nagle stało się tak, że wpakowałem się w niezłe długi.

– Jaki związek ma z tym Franciszek Pela, jego zamordowana matka oraz przedmioty, które znajdowały się w ich domu?

Tomek się zaczerwienił.

– To wyszło zupełnie przypadkowo. Agnieszka poznała kiedyś Franciszka i potem zaczęła nam opowiadać, jaki to dobry i fajny człowiek, który mimo swojego upośledzenia jest jedną z najbardziej pozytywnych osób, jakie ona spotkała. I kiedyś coś wyszło, że jego matka ma fioła na punkcie antyków, a zwłaszcza zabytkowej porcelany.

– W jaki sposób się o tym dowiedziałeś?

– Chyba Agnieszka coś wspomniała, że ten Franciszek szuka jakiegoś prezentu dla matki. Ona go zapytała, co lubi jego mama, czym się interesuje, jakie książki czyta, no wie pani, takie ogólne rzeczy. I wtedy to padło, o tej porcelanie.

Florentyna bacznie mu się przyglądała. Była niemal przekonana, że do tej pory ani razu nie skłamał, ale czasem nawet ją zawodziła intuicja. Podczas przesłuchania ważne było wszystko, każde zawahanie się przy odpowiedzi, każde drgnięcie powieki, nerwowy tik na twarzy czy też ruch ciała, nad którym trudno było zapanować. To, że chłopak był zdenerwowany, a nawet przerażony, widać było gołym okiem. Ale to akurat mogła zrozumieć. Ostatecznie przesłuchiwała go w sprawie podwójnego morderstwa.

– Byłeś w tym domu, prawda? – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

Zawahanie.

– Okej, wiem, że byłeś. Powiedz mi, w jakich okolicznościach.

Tomek zacisnął pięści.

– Doszedłem do wniosku, że to będzie najprostszy sposób na zdobycie szybkiej kasy. Na spłacenie długów i wykręcenie się z tego całego gównianego hazardu. No dobra, przycziłem się kiedyś na Franciszka, zagadałem go, no i on mnie chyba polubił. Wie pani, to jest taki typ faceta, że jak się jest dla niego miłym, to on od razu ma serce na dłoni. Zupełnie jak moja babcia – dodał jeszcze.

– Wykorzystałeś to.

– Powiedziałem mu kiedyś, że u mnie w domu też są różnego rodzaju figurki, bo mama i babcia mają hopla na tym punkcie. To oczywiście nie była prawda, ale Franciszek zaproponował, żebym go odwiedził i że wtedy pokaże mi kolekcję swojej mamy.

– Ta pasterka z owieczką to nie była pierwsza rzecz, którą ukradłeś – zaryzykowała Florentyna.

– Nie. Za pierwszym razem zwinąłem dwa pierścionki, filiżankę, chyba jeszcze przedwojenną i jakiegoś porcelanowego kominiarza. Dostałem za to kupę kasy, więc udało się spłacić te cholerne długi.

– Tyle tylko, że po ich spłaceniu doszedłeś do wniosku, że warto spróbować raz jeszcze. Że może znowu ci się poszczęści, wygrasz jakieś pieniądze i staniesz na nogi. Oczywiście nawet przez moment nie pomyślałeś, żeby wykupić sprzedane wcześniej rzeczy i oddać je właścicielce. Gdybyś coś wygrał, znowu by cię wciągnęło, nieprawdaż?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nawet nie wiedziałbym, gdzie tych rzeczy szukać. Odpaliłem je jakiemuś gościowi, który zajmuje się wystawianiem takich bibelotów na aukcjach. Dobra, wiem, ukradłem te rzeczy. Ale ta kobieta miała tam tyle tych rupieci, że byłem pewny, że się nie zorientuje.

Florentyna nie była o tym przekonana. Skoro Zofia Pela prowadziła szczegółowy rejestr swoich figurek, porcelany i biżuterii, to bardzo prawdopodobne było, że zauważyła również ich zniknięcie. Tylko dlaczego nikomu tego nie zgłosiła?

– Figurkę pasterki z owieczką ukradłeś na kilka dni przed zamordowaniem Zofii Peli, mam rację? – Florentyna wypowiedziała te słowa spokojnie, powoli, starając się akcentować każde z nich.

Podziękował. Chłopak aż się wzdrygnął.

– Tak, dlatego postanowiłem jak najszybciej ją zwrócić.

– A jak to wytłumaczyłeś Franciszkowi? Co mu powiedziałeś?

– Okłamałem go, że zobaczyłem figurkę na wystawie jakiegoś sklepu i od razu pomyślałem o jego matce. I że chciałem w ten sposób jakoś złagodzić jego cierpienie, kupując mu coś, co by się jej spodobało. Wiem, skurwysyństwo, ale to była jedyna rzecz, która przyszła mi do głowy. Kiedy dowiedziałem się, że było to morderstwo z rabunkiem, od razu pomyślałem, że muszę jak najszybciej pozbyć się tej figurki. Bo jeżeli ona gdziekolwiek wypłynie, pojawi się w jakimkolwiek sklepie, to natychmiast się o tym dowiedzie. Mogłem ją wyrzucić, ale kurwa, uznałem, że to byłoby jeszcze gorsze.

Florentyna wyłączyła nagrywanie. To, co powiedział Tomek, miało sens, chociaż w dalszym ciągu nie podsuwało żadnego rozwiązania. Oczywiście, mogła go jeszcze bardziej docisnąć, postraszyć aresztem, ale nawet jeżeli chłopak był zwykłym złodziejem i hazardzistą, to nie pasował jej do profilu mordercy.

– Gdzie byłeś tamtego dnia, kiedy zamordowano Zofię Pelę? – To pytanie musiała zadać.

Tomek przyłożył rękę do rozgrzanego czoła.

– Byłem w domu. Ale sam. Nie było ze mną ani Agnieszki, ani Igora i Łukasza. Wiem, jak to brzmi, i wiem, że nie mam alibi. Ale kurwa, ja naprawdę byłem wtedy w domu.

ROZDZIAŁ

12

Florentyna ze zdumieniem spojrzała na wirujące za oknem płatki. Rzadko kiedy w grudniu padał śnieg, zwłaszcza na początku. Nie pamiętała też, kiedy ostatnio przeżyła białe święta. W tym roku to i tak nie miało żadnego znaczenia, już dawno bowiem doszła do wniosku, że nie będzie obchodzić Bożego Narodzenia. Zdecydowanie nie miała czego świętować i nie chciała ulegać tej historycznej gorączce. Każdy człowiek ma prawo spędzać te dni tak, jak chce. Jedni mogą tańczyć wokół dwunastu potraw i wystrojonej choinki, a inni po prostu schować się pod kołdrą i potraktować ten dzień jak każdy inny.

Musiała jednak przyznać, że za każdym razem pierwszy śnieg działał na nią jakoś pozytywnie. Zwłaszcza wtedy, kiedy spokojnie padał i powoli okrywał szare miasto białym puchem. Od zawsze lubiła łapać na rękawiczkę śnieżynki i z zachwytem przyglądać się ich misternym konstrukcjom. Teraz też szybko otworzyła okno i wyciągnęła przed siebie rękę, ale na cieplej dłoni roztopiały się w gnieniu oka.

– Nie szkodzi. – Wzruszyła ramionami. – I tak mnie to wszystko nic nie obchodzi. – Wróciła do biurka i raz jeszcze popatrzyła na rozłożone na stole notatki. Spisała słowo w słowo to, co powiedział Tomek, a potem jeszcze kilkakrotnie przeczytała jego zeznania.

Coś jej mówiło, że chłopak nie kłamał. Spotkała się kiedyś ze stwierdzeniem, że wyrzuty sumienia to nic innego jak głos duszy, który mówi ludziom, iż zrobili coś nie tak, i każe im to w taki czy inny sposób naprawić. Czasem trzymają człowieka w szachu, a czasem są drogowskazem, co dalej należy zrobić. I prawdopodobnie tak właśnie było w przypadku tego chłopaka. Nie musiał oddawać tej figurki, mógł ją wyrzucić, roztrzaskać na tysiąc kawałków i zapomnieć. Ale kiedy dowiedział się o śmierci Zofii Peli, musiało to nim wyjątkowo wstrząsnąć. I doprowadzić do wewnętrznej dysharmonii.

To by się zgadzało. Wyrzuty sumienia to przecież sygnał płynący z układu nerwowego na skutek stresu wywołanego przez dysonans, który powstaje z zestawienia tego, co się stało, z tym, co stać się powinno. Tomek wiedział, że to, co zrobił, było złe i nawet jeżeli nie miał żadnego związku ze śmiercią matki Franciszka Peli, to jednak w jakiś sposób czuł się winny. Jego reakcja na wyrzuty sumienia była w jakimś sensie prawidłowa. Chociaż również dziecinna.

Myślał, że kiedy odda figurkę, to naprawi jakoś ten błąd, uspokoi głosy w swojej głowie, odbuduje zamek z piasku. Oczywiście, że to nie zadziałało tak, jak sobie to wyobrażał, ale może przez ułamek sekundy faktycznie poczuł się lepiej. Nie wyglądał na kogoś, kto mógłby brutalnie zamordować dwie starsze kobiety. Nie wyglądał też na kogoś, kto włamał się do tego domu i go okradł, tym bardziej że mógł zdobyć łupy w inny sposób. Wystarczyło pod byle jakim pretekstem wejść do środka z Franciszkiem i podczas nieuwagi mężczyzny zabrać różne przedmioty.

– To nie on – mruknęła do siebie.

Najgorsze w tym wszystkim było to, iż każda z poszlak nagle urywała się w połowie. Jeden punkt nie prowadził do drugiego, a ten do kolejnego i nie można było w żaden sposób połączyć ich wspólną linią. Wszystko było od siebie dość niezależne, niepowiązane, a jednak na swój sposób niepokojące.

Florentyna zerknęła na zegarek. Była na dziś umówiona z sąsiadami Zofii i Franciszka Peli, tymi, którzy wyjechali krótko po morderstwie. Monice udało się z nimi skontaktować i namówić do powrotu. Otworzyła szafę, żeby wyjąć z niej kurtkę i w tym momencie jej wzrok padł na szalik, który leżał na górnej półce i o którym zupełnie zapomniała. Właściwie był to rodzaj wełnianej chusty, którą ostatnio miała na sobie kilka miesięcy temu. Najwyraźniej musiała ją tutaj zostawić.

Ostrożnie dotknęła miękkiego materiału. Bładoróżowy, nawet ładny, pod warunkiem że ktoś lubił taki kolor. Do niedawna takie barwy były dla niej ucieczką przed smutkiem, rodzajem terapii, która nawet spełniała swoje zadanie. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Florentyna kompletnie straciła zainteresowanie tym, jak wygląda i w co się ubiera. Albo może było inaczej – nie chciała więcej niczego kolorowego ani tym bardziej różowego, bo już nie chciała uciekać przed tym, co trudne? A jednak teraz owinęła szyję różową chustą, a przez głowę przebiegła jej myśl, że to wcale nie jest taki zły kolor. I że pasuje do padającego śniegu.

– O! – zawołała na jej widok Monika i chyba chciała jeszcze coś dodać, ale Florentyna nie zatrzymała się, tylko stanowczym krokiem minęła policjantkę, a potem opuściła budynek.

Anna i Kazimierz Kropiszowie mieszkali po lewej stronie willi, w której zamordowano Zofię Pelę i Kordelię Czaplińską. Drzwi otworzyła jej starsza kobieta, która miała tak wystraszone oczy, jakby stanął przed nią sam kat zapraszający na egzekucję. Cała się trzęsła, miała rozbiegany wzrok i kurczowo zaciśnięte pięści. Była też przerażająco blada.

– Proszę, niech pani wejdzie, tylko że ja naprawdę nie wiem, co mogłabym powiedzieć. Myślałam, że może do tego czasu uda się już ustalić, kto to wszystko zrobił, a ja będę czuła się trochę bardziej bezpieczna. Ja wiem, że to okropne, co mówię i że powinnam przejmować się Franciszkiem, bo to on

w końcu nadal mieszka w tym domu, a ja myślę tylko o sobie. Tylko że ja się tak po prostu, po ludzku boję, że do nas do domu też ktoś przyjdzie i nas zabije. – Schowała twarz w dłoniach.

– Spokojnie. Na razie muszę zadać pani kilka pytań. Czy przyjaźniła się pani z Zofią Pelą? – spytała Florentyna, udając się w stronę pokoju gościnnego, do którego zaprosiła ją gospodyni.

Rozejrzała się z ciekawością wkoło, jakby podświadomie oczekując, że zobaczy tu różnego rodzaju bibeloty i porcelanowe dekoracje, ale niczego takiego nie znalazła. Co prawda w pokoju znajdowało się sporo starych mebli, dywan, który miał co najmniej kilkadziesiąt lat, oraz duży, stojący zegar z kurantem, ale poza tym nie natrafiła na zabytkową porcelanę czy też inne rzeczy podobne do tych, które posiadała Zofia Pела. Sama nie wiedziała, dlaczego ich się spodziewała. Może chciała znowu o coś się zaczepić, poszukać kolejnego motywu zbrodni.

– Nie wiem, czy można nazwać to przyjaźnią, ale czasem spotykałyśmy się, to fakt. Chociaż ostatnio Zosia wolała spędzać czas z tą Kordelią, którą poznała w sanatorium, i jakoś o mnie trochę zapomniała. Nawet byłam odrobinę zazdrośna, bo wcześniej zapraszałyśmy się na kawę z ciastem albo razem dokarmiałyśmy koty, a potem to się nagle skończyło – przyznała pani Anna.

– Jakim człowiekiem była Zofia Pела? – Florentyna podziękowała skinieniem głowy za herbatę, którą właśnie wniósł do pokoju najprawdopodobniej mąż kobiety. Herbaty co prawda nie zamawiała, ale doszła do wniosku, że chętnie się napije.

– Kazimierz Kropisz, dzień dobry – przedstawił się mężczyzna, a potem usiadł obok swojej żony.

Pani Anna zastanawiała się tymczasem nad odpowiedzią.

– To była bardzo spokojna kobieta, kiedyś pracowała jako nauczycielka w liceum, ale poszła na wcześniejszą emeryturę. No i później to już głównie skupiła się na książkach i tych wszystkich swoich figurkach, które tak namiętnie zbierała. Wiem, że majątek odziedziczyła po ojcu, który był jubilerem. Już na emeryturze zajmowała się też swoim synem, jeżeli poznała pani Franciszka, to pewnie wie, że on wymaga trochę większego zainteresowania niż inni ludzie. Mimo tego, że ma już ponad pięćdziesiąt lat.

Florentyna upiła łyk czarnej, gorzkiej herbaty. Smakowała wyjątkowo dobrze, chociaż może tylko jej się tak wydawało po tym okresie, kiedy nie czuła zupełnie nic.

– Czy mogła mieć jakichś wrogów? Czy wspominała kiedyś, że się czegoś obawia, że ktoś jej źle życzy? – spytała, odstawiając filiżankę.

Anna Kropisz natychmiast zaprzeczyła.

– Ależ skąd! Nie bardzo rozumiem, dlaczego starsza osoba miałaby mieć jakichkolwiek wrogów. Ktoś, kto nikomu nie wadzi, kto zajmuje się bezdom-

nymi kotami i lekko opóźnionym synem, kto ma swoje hobby i tak naprawdę większość czasu przebywa w domu, nie może być przecież obiektem nienawiści! Jak można chcieć kogoś takiego zabić? Jestem niemal przekonana, że to był zupełnie przypadkowy morderca, który po prostu chciał okraść ten dom. Dlatego tak bardzo się boję – wyszeptwała kobieta.

To brzmiało bardzo prawdopodobnie, co oczywiście wcale nie ułatwiało sytuacji. Znalezienie przypadkowego mordercy bywało bowiem o wiele trudniejsze niż szukanie winnego wśród bliskich, krewnych czy przyjaciół ofiary. W tym przypadku nic nie wskazywało na to, żeby faktycznie tak miało być. Ulica nie miała jednak monitoringu, dlatego trudno było cokolwiek sprawdzić. Nikt niczego nie widział ani nie słyszał, a ciała obu kobiet zostały znalezione – według patologa sądowego – dwa dni po zamordowaniu.

Florentyna wiedziała, że tak właśnie powinna podejść do tej sprawy, uznać, że to było przypadkowe włamanie i morderstwo, a jednak coś z tyłu głowy szepotało jej, że prawda jest zupełnie inna. Nie umiała pozbyć się uczucia, że w tę sprawę zamieszany jest jednak ktoś, kogo ofiara dobrze знаła.

– Czy pani Zofia Pela miała jakąś rodzinę? Oczywiście wiem, że miała syna oraz że się rozwiodła. Ale może miała rodzeństwo? Albo chociaż jakieś dalsze kuzynostwo, kogoś, z kim spotykała się na święta czy podczas innych rodzinnych uroczystości?

Anna Kropisz przecząco pokręciła głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale nie przyjaźniłyśmy się aż tak bardzo, żeby się sobie zwierzać. Z tego, co wiem, to święta Bożego Narodzenia zawsze spędzała w domu z synem i nigdzie nie wyjeżdżała. Nie wiem, czy pani słyszała, ale w ubiegłym roku zorganizowaliśmy taką uliczną wigilię, tylko dla mieszkańców naszej okolicy, i wtedy jej syn upiekł naprawdę dobre babeczki i pierniczki. Zosia powiedziała wówczas, że nie spodziewała się, iż jest aż tak zdolny. I użyła nawet zwrotu, że jeśli chodzi o pieczenie i gotowanie, to „Franek nie jest taki w ciemną bitą”. Zapamiętałam to, bo Franciszek natychmiast wyjął swój zeszyt, żeby w nim zapisać te słowa. Wy tłumaczyłam mu, co one oznaczają, a on się wtedy bardzo ucieszył, że mama go pochwaliła. Aż mu łzy w oczach stanęły. Ale wracając do pani pytania, to nigdy nie widziałam tu nikogo, kto przyjechałby na dłużej z wizytą do Zosi i Frania. Nie odwiedzało ich zbyt wielu ludzi. Nie wiem, może właśnie również ze względu na Franciszka, wie pani, czasem przyjaciele i znajomi odsuwają się, kiedy ktoś ma chore dziecko, bo nie bardzo wiedzą, jak się wtedy zachować.

– A czy pani Zofia po rozstaniu ze swoim mężem spotykała się jeszcze z kimś?

Anna Kropisz zastanowiła się przez chwilę, a potem nagle szeroko otworzyła oczy.

– Chyba tak, ale to było jakiś czas temu. Ten mężczyzna czasem faktycznie do niej przychodził, ale kiedy o niego zapytałam, powiedziała mi, że to specjalista, który pomaga jej w kupowaniu różnych przedmiotów na aukcjach. Był od niej trochę młodszy, zawsze elegancko ubrany i pamiętam też, że nosił błyszczące buty, wie pani, takie lakierki, jak za dawnych czasów.

– Pamięta pani jego imię? – spytała szybko Florentyna, czując, że to może być jakiś trop. W końcu o tym mężczyźnie wspominał również Marcin, ale jak dotąd nie udało się ustalić jego tożsamości.

– Zbigniew – odpowiedziała Anna Kropisz. – Ale nie znam nazwiska. Mówiła o nim „pan Zbyszek”, dlatego zapamiętałam. Tyle że ja go już od dłuższego czasu nie widziałam. Ostatnio to chyba przyszli razem z panią Kordelią, zobaczyłam ich przez okno. Wydawało mi się nawet, że o coś się kłóć, bo on nagle odwrócił się i poszedł w inną stronę, a ona weszła do środka. Ale to było z półtora roku temu.

– A kim tak naprawdę była Kordelia Czaplińska? Co o niej wiecie?

Anna bezradnie rozłożyła ręce.

– Ja jej nie lubiłem – odezwał się nagle Kazimierz Kropisz. – Była nieprzyjemna, a na moje dzień dobry nawet nie odpowiadała.

Florentyna wyciągnęła telefon i wystukała wiadomość do Moniki.

„Znajdź więcej danych na temat Kordelii Czaplińskiej”.

*

Po południu wróciła do biura i pierwsze, co rzuciło jej się w oczy, to *voucher*, który leżał na jej stoliku.

Hamмам?

Oczywiście wiedziała, co to jest, tylko zastanawiała się, dlaczego bon na ten właśnie rytuał znajdował się na jej biurku, no i przede wszystkim, kto go przyniósł.

Mączyński?

Nie, to chyba bez sensu, co innego spacerować z psem, a co innego sugerowanie komuś, że ma się wybrać do łaźni. Kompletnie absurdalny pomysł. Postanowiła, że zawoła swoją ekipę śledczą i zada im to pytanie, może przynajmniej tę zagadkę rozwiązać szybciej niż morderstwo dwóch starszerek.

Coraz bardziej ją to męczyło. Mieli wprowadzić jakieś poszlaki i ciągle pojawiały się nowe wątki, ale żaden z nich nie prowadził do celu, tylko po jakimś czasie znikał gdzieś, jakby we mgle. Śledztwo stanęło w miejscu, a przecież tam na zewnątrz ciągle chodził ktoś, kto brutalnie zamordował dwie starsze kobiety i splądrował dom. Kim był, jakie miał motywacje? Czy naprawdę chodziło tylko o kradzież?

Florentyna mocno zacisnęła powieki.

Nagle do pokoju weszła Monika i dość brutalnie wtargnęła w jej myśli.

– Pójdiesz? – spytała, wskazując głową *voucher*, który leżał przed nosem Florentyny.

Policjantka pokręciła z niedowierzaniem głową.

– To twój pomysł? Bo już chciałam w tej sprawie przeprowadzić śledztwo. A możesz mi powiedzieć, po jaką cholere mam iść do łaźni, pocić się i szorować ciało aż do bólu? To jakaś metafora?

Monika się roześmiała.

– Tu nie ma żadnych podtekstów. Matka mi sprezentowała ten wypad, tyle że ja nienawidzę sauny. Byłam raz i o mało nie uduśliłam się z braku powietrza. Na dodatek miałam wrażenie, że wszyscy śmierzdzą, a ich pot skrapla się wokół mojej osoby, żeby po chwili mnie w nim utopić. Wiem, to brzmi trochę krindżowo, ale tak właśnie się czułam. A ponieważ moja matka bardzo rzadko mnie słucha, dlatego zawsze dostaję od niej nietrafione prezenty. Na dodatek przysyła je dużo wcześniej, bo nie może doczekać się mojej radości. No i tym razem też właśnie tak było. W sumie może to i dobry pomysł, bo gdybym miała ten podarunek rozpakować pod choinką i okazać dziką radość z okazji tego, że dostałam bon do łaźni, to nie wiem, czy dałabym radę być aż tak dobrą aktorką. A tak po prostu do niej zadzwoniłam, powiedziałam jej, że umarłam z rozkoszy i radości, a potem postanowiłam, że komuś go odpalę.

– Ale dlaczego właśnie mnie? – zdumiała się Florentyna.

Monika wzruszyła ramionami.

– A dlaczego nie? Miałam dać chłopakom? Nawet nie wiem, czy oni w ogóle wiedzą, co to jest hammam. Szczerze mówiąc, sama się upewniłam, sprawdzając w Google'u. Oczywiście opisali to niezwykle zachęcająco, czyli dokładnie tak, żeby mnie skutecznie odstraszyć. Ale czekaj, też nie lubisz sauny?

Florentyna machnęła ręką.

– Jeśli chodzi o cudzy pot, to nie, nie przeraża mnie on jakoś specjalnie. Ale nie chodzę zbyt często w takie miejsca.

– Słuchaj, jak nie chcesz, to przekaz dalej. Ale może to fajny pomysł na relaks?

– Mnie relaksuje rozwiązywanie zagadek, które są nierozwiązywalne dla innych – odpowiedziała Florentyna. – Natomiast to, co mnie stresuje, to dreptanie w kółko i natrafianie ciągle na te same ślady, które na dodatek donikąd nie prowadzą.

– Wiem, co masz na myśli – powiedziała ponuro Monika. – Do tego domu wiedzie całkiem sporo ścieżek, ale ja też odnoszę wrażenie, że na żadnej z nich nie stoi morderca. To wszystko wydaje się jakieś bardziej zagmatwane, niż jest. Na razie szukamy wiadomości o Czaplńskiej. Wiemy nadal tylko tyle, że była wdową, na dodatek bezdzietną. Mieszkała sama, na osiedlu Kosmonautów. Nikogo nie powiadomiliśmy o jej śmierci, bo tak naprawdę nie mieliśmy żad-

nych danych. I nikt też o nią nie pytał. W mieszkaniu nie natrafiliśmy kompletnie na nic, co mogłoby nam się przydać. Błądzimy w cholernych ciemnościach.

– Do kiedy ważny jest ten *voucher*? – spytała nagle Florentyna.

– Nie mam pojęcia, pewnie bezterminowy. Ale z doświadczenia wiem, że jak człowiek go od razu nie wykorzysta, to albo zgubi, albo na śmierć o nim zapomni.

Florentyna wzięła do ręki komórkę, zadzwoniła pod podany numer i zrobiła termin na następny dzień. Monika aż wybałuszyła na nią oczy.

– Serio? Muszę powiedzieć, że mi zaimponowałaś.

– Niby czym? Sama powiedziałaś, że takie rzeczy trzeba załatwiać od razu. Może masz rację, może szczegółowe i bolesne wyszorowanie mojego ciała na coś się przyda – dodała, chociaż zupełnie nie była co do tego przekonana.

A jednak to zupełnie spontaniczne wyjście do hammamu, czy może raczej ostry peeling, spowodowało coś, co w jakimś sensie podwójnie oczyściło Florentynę. Leżąc w pianie z czarnego mydła, na gorących kamieniach, czując, jak jej skóra rozgrzewa się coraz bardziej, a nawet zaczyna boleć, wreszcie pozwoliła sobie na łyzy. Zamknęła oczy i z ulgą poczuła, jak wypływają z niej w ilościach, o które nigdy by się nie podejrzewała. Nie przejmowała się tym, co pomyśli o niej kobieta wykonująca zabieg, szczerze mówiąc, nawet jej nie słuchała. Pozwoliła sobie na publiczny smutek, żal za tym wszystkim, co straciła, za tym, w co wierzyła, a okazało się tylko wydmuszką, i wreszcie za swoim życiem, które nagle wydało jej się jakieś bez sensu.

Nijakie. Żadne.

Nagle dotarło do niej, że człowiek nie żyje po to, aby w pionie trzymały go jakieś głupie rytuały powtarzane każdego dnia, bo tylko dzięki nim wstaje z łóżka i idzie do pracy. Tak na pewno nigdy nie chciałby żyć Mikołaj. Teraz miała dwa powody, żeby się z tego wyrwać. Chociaż oba naraz stanowiły niezły paradoks. Nie chciała już tak żyć, bo tego nie chciałby jej mąż. Ale nie chciała już tak żyć również dlatego, że postanowiła nie przejmować się więcej tym, czego nie chciałby jej mąż.

– Ja przepraszam, bo panią chyba strasznie bolało. – Dobiegł ją lekko spłoszony głos kobiety, która stała teraz przed nią z rękawicą na dłoni, w drugiej ręce trzymając coś w rodzaju czajnika z ciepłą wodą. – Czy zrobiłam coś złe?

Florentyna usiadła na kamieniach i posłała jej słaby uśmiech, jedyny, na jaki było ją w tej chwili stać.

– Nie, wszystko jest w porządku, a ten ból był mi potrzebny. Zrobiła pani znacznie więcej, niż powinna – dodała jeszcze.

Godzinę później zadzwoniła do Kacpra.

ROZDZIAŁ

13

Monika miała rację. Mimo iż od śmierci Kordelii Czaplińskiej minęło sporo czasu, nadal żaden bliski w jej sprawie się nie zgłosił. Również mieszkania na osiedlu Kosmonautów nikt nie odwiedzał i najwyraźniej nadal nikt nie był tym zainteresowany. Kordelia chyba faktycznie nie posiadała rodziny. Ani przyjaciół.

– Muszę wejść do środka, bo być może znajdę tam jakąkolwiek odpowiedź na pytanie, kto zabił te kobiety – tłumaczyła Mączyńskiemu Florentyna, kiedy wpadła na niego w środowowy poranek na komendzie.

– Ładnie wyglądasz – zauważył. Nie zareagowała, więc szybko zmienił temat: – Podobno twoi koledzy już przejrzeni jej rzeczy osobiste i zabezpieczyli mieszkanie...

– Tak, ale dobrze wiesz, że czasem trzeba coś sprawdzić kilka razy, żeby w końcu trafić na jakiś ślad. Mieszkanie nadal pozostaje w dyspozycji policji i prokuratury, bo nikt się do tej pory nie zgłosił.

– Wiem. – Skinął głową. – Też mnie to zdziwiło, ale najwyraźniej ofiara była osobą samotną. Okej, jako powód podaj oględziny uzupełniające i nowe okoliczności, które pojawiły się w tej sprawie. Możesz zdjąć plomby i wejść do środka. Mam nadzieję, że na coś trafisz. – Uśmiechnął się.

Jakoś tak odruchowo odwzajemniła ten uśmiech, co spowodowało, że Mączyński aż pojaśniał na twarzy, jak zorza.

Godzinę później Florentyna weszła do niewielkiej kawalerki, w której wcześniej mieszkała zamordowana Kordelia Czaplińska. Nie było to przyjemne miejsce. Może dlatego, że wszystko wydawało się tu ponure i ciemne, a do tego okna zasłonięto granatowymi storami. Policjantka wpuściła do środka trochę światła i rozejrzała się wkoło. Brunatna kanapa, ciemny, prawie brązowy dywan, czarny stół, czarne krzesła, ciemnowiśniowa szafa czy może raczej coś w rodzaju kredensu. To mieszkanie z całą pewnością nie było przytulne. Nic dziwnego, że Kordelia wolała spędzać czas u Zofii, której ogromny dom w porównaniu z tym miejscem wydawał się niemal pałacem. Tutaj nawet kuchnia była ponura, zwłaszcza ciemnozielone meble, brudne i w wielu miejscach oblepione tłuszczem. Albo Kordelia Czaplińska nie radziła sobie z podstawowymi obowiązkami, albo w ogóle nie przywiązywała do tego wagi. Z tego, co udało się ustalić Monice i Marcinowi, wynikało, że była emerytowaną nauczycielką geografii.

Nic dziwnego zatem, że tak szybko udało jej się zaprzyjaźnić z Pelą, ostatecznie miały wspólne zainteresowania i podobną przeszłość. Co prawda Zofia była nauczycielką języka polskiego, ale z całą pewnością obie panie znalazły wspólne tematy do rozmów.

Zdecydowanie jednak różniły się statusem finansowym. Matka Franciszka pochodziła z bogatej rodziny i odziedziczyła po ojcu całkiem pokaźny majątek, podczas gdy Kordelia Czaplínska najwyraźniej borykała się z problemami finansowymi. Na stole w kuchni Florentyna znalazła dwa upomnienia dotyczące niezapłaconych rachunków. Całkiem możliwe zatem, że przyjaźń Kordelii z Zofią bazowała trochę na tym, iż ta pierwsza liczyła na jakieś finansowe wsparcie swojej nowej przyjaciółki.

Usiadła na brązowej kanapie w pokoju i próbowała się skupić. Nagle poczuła, że coś uwiera ją w plecy. Wsunęła rękę między poduszkę będącą jednocześnie oparciem a siedzisko i wyjęła ze szczeliny zeszyt z niebieską okładką. Początkowo pomyślała, że należał on do Franciszka, zwłaszcza że widniało na nim jakieś słowo, którego nie znała, ale okazało się, że była w błędzie. To, co znajdowało się w środku, wprawiło ją w niemałe osłupienie.

Sześćdziesięcioczerokartkowy brulion zawierał opisy wszystkich cennych przedmiotów, jakie posiadała Zofia Pela. Szczegółowe charakterystyki figurek, ich przybliżoną wartość oraz rok pochodzenia.

– Nie rozumiem – powiedziała na głos Florentyna. – Gdybyś żyła, mogłabym podejrzewać, że to ty zamordowałaś przyjaciółkę, żeby dobrać się do jej majątku. Ale zginęłyście obie i to w wyjątkowo brutalny sposób.

Wszystko stawało się jeszcze bardziej zagmatwane. Wiele wskazywało na to, że przyjaźń Kordelii i Zofii nie była tak zupełnie bezinteresowna, przynajmniej dla jednej z tych pań. To, że spotkały się w sanatorium, mogło być czystym przypadkiem, ale wszystko, co wydarzyło się później, już pewnie takie nie było. Kordelia najprawdopodobniej doszła do wniosku, że Zofia Pela może okazać się bardzo przydatna. Trudno było powiedzieć, czy matka Franciszka wiedziała o kłopotach swojej przyjaciółki i czy w jakikolwiek sposób jej pomagała. Trudno było też ustalić, czy Kordelia planowała okradzenie Zofii, czy po prostu chciała tylko przyjaźnić się z kimś, kto był bogaty i kto w przypadku kryzysu mógłby jej pomóc.

Obie kobiety nie żyły, dlatego to pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Być może cokolwiek mógł wiedzieć ten mężczyzna, który wcześniej towarzyszył Zofii podczas licytacji, a potem po prostu zniknął z jej życia. Mając jednak tylko jego imię, Florentyna zdawała sobie sprawę, że niewiele uda jej się zdziałać. Trudno bowiem szukać w Poznaniu starszych mężczyzn, między sześćdziesiątym a siedemdziesiątym rokiem życia, o imieniu Zbigniew, którzy noszą błyszczące lakierki. I kiedy w przypływie wściekłości chciała rzucić zeszytem o pod-

łogę, zła, że znowu zaczyna błędzić we mgle, nagle jej wzrok padł na ostatnią stronę brulionu.

Zbigniew N.

A obok numer telefonu.

– Mam cię – ucieszyła się Florentyna i natychmiast wybrała zapisany numer.

Chyba naprawdę w końcu miała szczęście. Mężczyzna, który odezwał się po drugiej stronie, faktycznie miał na imię Zbigniew i był rzeczoznawcą dzieł sztuki. Umówiła się z nim jeszcze na dzisiaj. Z mieszkania Kordelii Czaplińskiej zabrała ze sobą zeszyt z niebieską okładką i małą foremkę do ciastek w kształcie czterolistnej koniczyny. Znalazła ją na podłodze i odruchowo wsunęła do kieszeni kurtki. Godzinę później Zbigniew Nerski patrzył z przerażeniem na Florentynę, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie mu powiedziała. Umówili się na placu Wolności.

– Pani Zosia nie żyje? Ktoś ją zamordował? Ale jak? Kto? Dlaczego?

– To właśnie próbujemy ustalić. Zupełnie przypadkowo dowiedzieliśmy się, że znał pan ofiarę, mało tego, że kiedyś jeździł pan z nią na aukcje dzieł sztuki do Warszawy oraz Krakowa i pomagał nabywać różne rzeczy.

Mężczyzna skinął głową.

– Nabywać oraz sprzedawać. Pani Zofia miała w domu wiele cennych przedmiotów, ale nie wszystkie jej się podobały. Tak naprawdę była wielbicielek porcelanowych figurek, zwłaszcza tych pochodzących z rodzimych zakładów. Chodzież i Ćmielów, na pewno pani słyszała. Jej marzeniem było posiadanie niemal wszystkich wyrobów, które zostały wyprodukowane w tych miejscach. Oczywiście miała spore oszczędności, ale doradziłem jej, żeby nie wydawała bezsensownie pieniędzy, tylko pozbyła się niektórych rzeczy, które nie do końca były w dobrym guście, i za to kupowała coś, co naprawdę jej się podobało. Wspólnie dokonaliśmy wielu naprawdę udanych transakcji. Śmiało mogę powiedzieć, że staliśmy się kimś w rodzaju przyjaciół, oczywiście na polu czysto zawodowym. I wtedy pojawiła się ta koszmarna baba...

Florentyna zmrużyła oczy.

– Kogo ma pan na myśli? – spytała, chociaż dokładnie wiedziała, czyje nazwisko zaraz usłyszy.

– Kordelia czy Kornelia, nie do końca pamiętam, jak miała na imię. Pojawiła się nieoczekiwanie, zupełnie znikąd i nagle okazało się, że jest największą i najserdeczniejszą przyjaciółką pani Zofii. Ale od samego początku mi się nie podobała. Byłem przekonany, że próbuje wkupić się w jej łaski tylko po to, żeby ją okraść.

– A skąd takie podejrzenia?

– Spotkałem ją kiedyś w sklepie i zobaczyłem, że nosi na palcu pierścienek, który ładnie przypominał ten pani Zofii. Podobnie zresztą jak broszka, którą miała przypiętą do swetra. Udałem oczywiście, że zupełnie nie kojarzę tych

przedmiotów, zwróciłem tylko uwagę, że są bardzo ładne, na co Kordelia nie zareagowała. Jakiś czas później wybierałem się do pani Zofii, żeby umówić się na następny wyjazd na aukcję do Krakowa, gdzie miało być wystawionych kilka ciekawych figurek, o których posiadaniu marzyła. I wtedy natknąłem się na tę jej rzekomą przyjaciółkę, która ni stąd, ni zowąd oznajmiła mi, iż starsza pani nie ma najmniejszej ochoty więcej mnie oglądać i że jeśli moja noga raz jeszcze pojawi się w pobliżu tego domu, to ona powiadomi policję, że je nachodzę.

– I pan jej uwierzył? Nie próbował pan ostrzec pani Zofii?

Zbigniew Nerski ciężko westchnął.

– Początkowo ją wyśmiałem i powiedziałem, że broszka, którą u niej widziałem, podobnie zresztą jak pierścionek, wcale nie należą do niej, i spytałem, czy wie o tym pani Zofia. I wtedy ta baba odbiła piłeczkę. Zapytała mnie, czy z kolei urząd skarbowy wie, że wielokrotnie dostawałem prowizję od pani Zofii pod stołem. – Spuścił głowę.

Florentyna spojrzała na niego pytająco.

– I tak właśnie było?

Pan Zbigniew przytaknął.

– Tak, dogadaliśmy się z panią Zofią, że będę brał od niej mniejsze prowizje, ale bez rachunku. Najwyraźniej musiała wspomnieć o tym tej babie, a ta wykoryzstała to przeciwko mnie. Postanowiłem, że na jakiś czas zniknę z życia pani Zofii, że może to babsko też zniknie i wszystko wróci do normy. Ale tak się nie stało. A teraz mówi mi pani, że Zofia została zamordowana. A jeżeli to ta baba zrobiła? – Podniósł na policjantkę przerażony wzrok.

– To mało prawdopodobne. Kordelia Czaplińska bowiem również została zamordowana i to w domu Zofii Peli. Obie kobiety znaleziono w piwnicy. Zdecydowanie wykluczamy tu zabójstwo, a następnie samobójstwo. Zwłaszcza to drugie jest po prostu niemożliwe. Nie przy tych obrażeniach.

Zbigniew Nerski chwycił się za serce i oparł o ławkę. Ledwo mógł złapać oddech.

– Jezus Maria. Jezus Maria. Kurwa.

ROZDZIAŁ

14

Do świąt Bożego Narodzenia zostały niecałe trzy tygodnie.

Florentyna wprawdzie obiecała sobie, że w tym roku postara się wymazać te dni ze swojej głowy, ale po rozmowie z Kacprem doszła do wniosku, że jej wewnętrzne blokady i opory również w niczym nie pomagają. Dobrze się stało, że wtedy rozpląkała się w tej łaźni, mimo przerażenia kobiety przeprowadzającej zabieg. Kiedy stamtąd wyszła, spotkała się z Kacprem, ale nie po to, żeby po raz kolejny wałkować temat Mikołaja, Poli i tego wszystkiego, co się z tym wiązało. Chciała po prostu napić się kawy ze swoim bratem, trochę pomilczeć, a trochę porozmawiać o wszystkim i o niczym.

Na szczęście to zrozumiał. Nie przeproszał, nie próbował niczego po raz kolejny wyjaśniać ani tłumaczyć. Spotkali się w jednej z bocznych uliczek Starego Rynku i weszli do najbliższej kawiarni, które w okresie przedświątecznym i tak trudno było od siebie odróżnić, wszystkie bowiem migotały tysiącami miniaturowych lampek, wybrzmiewały kolędami i pachniały świerkiem. Miało to swój urok, nawet dla kogoś takiego jak antyświąteczna Florentyna. Zamówili cynamonowe latte z dużą ilością bitej śmietany, a potem po prostu siedzieli nad wysokimi szklankami, trochę wspominali dzieciństwo, a trochę po prostu nie mówili nic.

– Pamiętasz, jak dostaliśmy od rodziców filcowe kaptcie pod choinkę? Im wydawało się, że to coś niezwykłego, a my byliśmy potwornie rozczarowani – przypomniała sobie nagle Florentyna.

Kacper zachichotał.

– Moje rozczarowanie było chyba jeszcze większe niż twoje, bo pamiętam, że wrzuciłem jednego kaptcia do pieca i udawałem wielką rozpacz, że nie mogę go nigdzie znaleźć. Na szczęście matce nie udało się odkupić podobnych i za karę musiałem chodzić po domu w skarpetkach. Co oczywiście było dla mnie dużo przyjemniejsze niż te paskudne filcówki.

– Co robisz w święta? – spytała nagle Florentyna.

– Pewnie będę malował. Nie sądzę bowiem, abym był w stanie przygotować dwanaście potraw, chociaż, jak wiesz, mam uroczą sąsiadkę, która już na początku grudnia zaoferowała, że sprezentuje mi parę smakołyków. Po tym, co się wydarzyło, jest dla mnie szczególnie miła, zupełnie jakby chciała wynagro-

dzić mi to, że nie ustrzegła mnie przed Polą. Co oczywiście nie było jej winą. Niczyją nie było – dodał jeszcze.

– Lubię jej wypieki – przyznała Florentyna. – Pamiętam, jak poczęstowałaś mnie pomarańczowym sernikiem, to była jakaś poezja. Myślisz, że w tym roku zrobi podobny?

– Nie wiem, ale jak chcesz, to wpadnij do mnie w Wigilię, razem wypróbujemy po trochu wszystkiego, co przygotowała. Kto wie, może okaże się, że to będzie najsmaczniejsza kolacja wigilijna w naszym życiu?

Florentyna przymknęła oczy.

– Może wypadnę. Może tak koło osiemnastej – dodała po chwili.

Kacper nic nie odpowiedział, ale wiedziała, że mu ulżyło. Nie była jeszcze pewna, czy dotrzyma słowa, ale coś jej mówiło, że być może to wcale nie jest taki zły pomysł. Planowała co prawda po prostu pójść wcześniej spać, ale wizja smakołyków sąsiadki Kacpra stawała się coraz bardziej kusząca. Zwłaszcza dla kogoś, kto dopiero niedawno odzyskał smak i węch.

Na razie jednak miała co innego na głowie.

Stała właśnie przed swoim biurkiem, na którym rozłożyła ogromny arkusz z wypisanymi na nim imionami osób, które mogły być zamieszane w śmierć Zofii Peli i Kordelii Czaplńskiej. Obok niej stali Monika, Antek i Marcin i wszyscy zabawnie przygryzali dolną wargę. Zupełnie jakby miało im to w czymś pomóc.

– No właśnie – powiedziała Florentyna. – Tak naprawdę to każda z tych osób miała motyw. Zdaję sobie oczywiście sprawę, że to morderstwo było wyjątkowo brutalne, być może zbyt brutalne jak na nasze koło podejrzanych.

– Ale mimo wszystko wychodzisz z założenia, że to jednak nie była obca osoba? – upewniła się Monika.

Florentyna wzruszyła ramionami.

– Nie mam stuprocentowej pewności, ale coś mi mówi, że powinniśmy szukać wśród tych osób, których nazwiska i imiona mamy tu wypisane. Na razie czysto hipotetycznie, ale zacznijmy od naszego studenta. Chłopak miał największy powód, głównie żeby okraść Zofię Pelę, bo w ten sposób mógł zdobyć upragnione pieniądze i dalej bawić się w hazard. Oczywiście, że mógł podkraść te przedmioty stopniowo, wchodząc do willi razem z Franciszkiem, ale na dłuższą metę byłoby to dość męczące i skomplikowane. Ostatecznie musiałby wymyślać tysiące nowych powodów, żeby tam przychodzić, istniało też duże ryzyko, że w końcu zarówno syn, jak i matka zorientowałyby się, że z ich mieszkania giną cenne przedmioty. Zwłaszcza Zofia Pela musiałaby to zauważyć. W tej sytuacji najlepszym wyjściem była jednorazowa kradzież. Możliwe, że obie kobiety zaskoczyły chłopaka, dlatego je zabił.

– Cholera, nie wygląda mi na kogoś, kto mógłby być aż tak okrutny. – Monika ze świstem wypuściła powietrze.

– Tu się z tobą zgodzę, ale na razie odrzucmy nasze odczucia i skupmy się na samych motywach. Następną osobą jest Zbigniew Nerski. Facet miał zdecydowanie na pieńku z Kordelią Czaplinską, mogę nawet zaryzykować stwierdzenie, że jej nie znosił. Co prawda chyba nie miał żadnych kłopotów finansowych, ale być może chciał upozorować napad, a tak naprawdę chodziło mu o to, żeby zabić Kordelię. Tyle tylko, że facet w przyjazny sposób wyrażał się o samej pani Zofii, dlatego nie pasuje mi do niego podwójne morderstwo. No chyba że wydarzyło się tam coś jeszcze, o czym nie mamy pojęcia. Być może Zofia Peła za namową swojej przyjaciółki również straszyla go, że poinformuje policję o niepłaceniu podatków od prowizji, chociaż to trochę słaby powód, żeby kogoś tak brutalnie zamordować. Jednakże w człowieku czasem budzą się takie demony, o których istnienie nigdy by się nie podejrzewał.

– Kto jeszcze? – Marcin zerknął na rozpisane nazwiska. – Julia Kolak? – Spojrzał pytająco na Florentynę.

Przytaknęła.

– Kobieta miała duże problemy finansowe i znajomość z Franciszkiem Pełą mogłaby jej pomóc stanąć na nogi. Moim zdaniem matka mężczyzny nie przepadała za nią, możliwe nawet, że była przeciwna ich związkowi, chociaż kobieta twierdzi inaczej. Ale nie wierzę jej. To mogło nieco zburzyć plany Julii, a najlepszym sposobem na pozbycie się niechętniej niedoszłej teściowej byłoby usunięcie jej z gry. Być może Julia nie działała sama, być może wynajęła kogoś lub wspólnie z tym kimś weszła do domu, upozorowała napad rabunkowy, a następnie oboje zabili staruszki. Technicy nie znaleźli wprawdzie żadnych śladów, ale to może być dowód na to, że przestępca bardzo dobrze się przygotował. Mamy jeszcze sąsiadów, którzy mieli najslabszy motyw, chociaż pani Anna Kropisz sama przyznała, że czuła się zdradzona przez Zofię Pełę i odstawiona na boczny tor. To oczywiście nie jest powód, żeby kogoś zamordować, ale tak jak mówiłam – na razie odsuwamy racjonalne tłumaczenia i bierzemy pod uwagę wszystkie możliwości. Z tego, co udało mi się ustalić, również Kordelia Czaplinska miała motyw, żeby zabić swoją przyjaciółkę, tyle że przy okazji zginęła sama. Dlatego ta wersja zupełnie nie trzyma się kupy. Chyba że ona również zaangażowała do całej akcji trzecią osobę, ale została przez nią zdradzona i na wszelki wypadek zamordowana, żeby nie być w przyszłości szantażowana. W jej mieszkaniu znalazłam zeszyt, w którym prowadziła rejestr wszystkich cennych przedmiotów znajdujących się w domu jej przyjaciółki. Pytanie brzmi – po co? Albo robiła to dla siebie, żeby wiedzieć, co ewentualnie ukraść i spieniężyć, albo prowadziła to dla kogoś. Tego jednak nie udało nam się ustalić, bo nawet w komórce Czaplinskiej lista kontaktów ogranicza się zaledwie do kilku osób. Sprawdziliśmy wszystkie, ale nie mają one żadnego związku z Zofią Pełą.

– Przypominam jeszcze, że Julia Kolak nie mogła tego zrobić sama, bo w czasie morderstwa przebywała z Franciszkiem Pełą nad morzem – wtrąciła

Monika.

- No tak - zgodziła się Florentyna. - Ale mogła kogoś wynająć. Prawda jest taka, że każda z tych osób miała jakiś powód, żeby to zrobić, tylko że niewystarczająco silny, aby zabić dwie niewinne kobiety. I to w tak brutalny sposób.

- Ale ty masz już jakieś podejrzenia, prawda? - spytała nagle Monika, patrząc na Florentynę i mrużąc oczy.

Policjantka napisała kilka słów pośrodku arkusza.

- To są synonimy. Ale każdy z tych wyrazów usłyszałam od wszystkich tych osób, których nazwiska są tutaj zapisane.

- I to ma być wspólny mianownik? - zdumiał się Antek. Marcin również wyglądał na nieprzekonanego.

- Moim zdaniem to jest wspólny mianownik i prawdopodobnie odpowiedź na pytanie, kto zabił.

Zapadło milczenie.

- Nie wszystkie słowa rozumiem - odezwała się po chwili Monika.

- Ja również, dlatego sprawdziłam ich znaczenie w słowniku i wtedy okazało się, że tak naprawdę wszystkie oznaczają to samo. Zanim jednak będę w stu procentach pewna swojej hipotezy, chciałabym, żebyście sprawdzili byłego męża Julii Kolak.

- Ale z tego, co wiem, facet siedzi w więzieniu. - Monika zmarszczyła brwi.

- Wyszedł kilka tygodni temu - odpowiedziała spokojnym głosem Florentyna. - A wczoraj sprzedał w jednym z antykwariatów porcelanową figurkę „Grzybiarki”.

ROZDZIAŁ

15

W jednej ze swoich wizji Florentyna widziała pudełko pełne zdjęć, które nagle pojawiło się na podłodze w dużym pokoju willi na Sołaczu. W rzeczywistości ten karton stał zupełnie gdzie indziej, ale wizja nadal nie dawała policjantce spokoju.

Pojechała tam raz jeszcze.

Franciszek Pela wpuścił ją do środka i znowu powtórzył, że to wszystko wydarzyło się przez niego. W domu znajdowała się również Julia, która próbowała go przekonać, że to nie jego wina i że powinien przestać tak myśleć.

– Czy udało wam się coś znaleźć? Macie coś nowego? – spytała, patrząc z niepokojem na Florentynę.

Śledcza zawahała się przez moment, ale ostatecznie skinęła potakująco głową.

– Sądzę, że tak, chociaż pewne rzeczy trzeba jeszcze ustalić.

– Musi pani znowu przeszukać ten dom? – zdumiała się Kolak. – Bo my tu wszystko posprzątaaliśmy, nie dało się tak dłużej żyć.

– Nie szkodzi – odpowiedziała Florentyna. – Myślę, że to, po co przyszedłam, znajduje się dokładnie tam, gdzie podejrzewam.

Willa faktycznie lśniła czystością. Wszystko znalazło się z powrotem na swoim miejscu i nic nie przypominało tego, co wydarzyło się jeszcze kilka tygodni temu. Florentyna weszła do dużego pokoju, podeszła do komody, a potem uklękła przed nią i zaczęła poruszać deskami w podłodze. Tak jak podejrzewała, dwie z nich były luźne i wystarczyło tylko lekko je podważyć, żeby zdradziły swoją tajemnicę.

– To jakiś schowek? – Julia Kolak szeroko otworzyła oczy, wchodząc do pokoju i zerkając na to, co robi Florentyna.

– Tak przypuszczam – potwierdziła policjantka.

Chwilę później wyjęła spod desek kilkadziesiąt zdjęć podzielonych na mniejsze kupki i owiniętych gumkami recepturkami.

– Fotografie? A dlaczego pod podłogą? – nie mogła zrozumieć Julia.

Franciszek Pela stanął obok niej. Jego twarz nie wyrażała nic.

Chwilę później rozległ się dzwonek do drzwi i Florentyna poprosiła, aby ktoś z nich wpuściło gościa do środka.

– To starsza aspirant Monika Kulm, z którą razem pracuję – przedstawiła koleżankę.

Kiedy Monika weszła do pokoju, Florentyna bez słowa podała jej zdjęcia.

– O kurwa! – wyrwało się policjantce.

Fotografie przedstawiały tak naprawdę tylko jedną postać. Chłopca w różnym wieku. Od najmłodszych lat, przez okres przedszkolny, szkolny, jako nastolatka i wreszcie dorosłego mężczyznę. Posegregowane według wieku. Nie były to jednak typowe zdjęcia, które rodzice robią swoim dzieciom. Na wszystkich tych fotografiach chłopiec, a potem mężczyzna cierpiał. W jego oczach pojawiał się strach, przerażenie albo jakiś gigantyczny smutek. Na jednym ze zdjęć widać było rany zadane po uderzeniu, pewnie pasem. Na innym odcisk dłoni, który zostawił ślad na jego policzku. Czasem chłopiec był nagi i kucał najprawdopodobniej pośród własnych ekskrementów. Kolejna fotka przedstawiała go w samych tylko majtkach, na głowie zaś doczepione miał papierowe osłe uszy. Były też wyzwiska, które ktoś zapisał na jego ciele.

Gryncbuła.

Ciućmok.

Abderyta.

Patafian.

Wszystkie te fotografie były przerażające w swojej wymowie, a najstraszniejsze było to, że każda z nich przedstawiała Franciszka Pelę. Samego lub w otoczeniu zabawek, które miały oderwane części ciała. Dokładnie te zabawki Florentyna znalazła w piwnicy. Pytanie, kto je zniszczył? I dlaczego?

Bora bez słowa podała kilka fotografii Julii Kolak. Kobieta przejrzała je, a potem spuściła głowę.

– Wiedziała pani, że Zofia Pella znęca się nad własnym synem, prawda?

Kobieta osunęła się na krzesło i schowała twarz w dłoniach.

– Wiedziała pani, że jest upokarzany, wyśmiewany i traktowany jak ostatni śmieć? Te wyrazy, które ma wypisane na ciele na jednym ze zdjęć pojawiły się również w rozmowach ze wszystkimi, których przesłuchiwałam. Gryncbuła, gamajda, no i przede wszystkim ciećwierz. To słowo zapisała również Kordelia Czaplinska na swoim zeszytcie. Czy mogłabym zobaczyć pana notes? – spytała spokojnie Florentyna, zwracając się do Franciszka Peli.

Bez słowa go jej podał, chociaż Kolak próbowała zaprotestować.

Zeszyt był gruby, ponad dwustukartkowy, a na jego pierwszej stronie widniało słowo ciećwierz.

– Co to właściwie znaczy? – spytała Monika.

– Przygłup, tłumok, imbecyl, idiota, kapuściany łeb, zakuta pała. Bo tak właśnie zwracała się do pana matka, prawda? – Florentyna starała się, by jej głos brzmiał w miarę łagodnie.

Franciszek Pella podniósł na nią wzrok.

– Ja wiem, że jestem głupi, i rozumiałem, że matka była na mnie o to zła. Ale potem pojawiła się ta jej przyjaciółka i jeszcze bardziej ją nakręcała. Mówiła, że jestem baranim łbem, kompletnym kretyńcem i że to wstyd pokazywać się ze mną na ulicy. Czasami kradły mi ubrania z pokoju i nie mogłem z niego wyjść albo musiałem chodzić goły. Dawały mi pieluchy i kazały w nie sikać, a potem wrzeszczały, że jestem gównianym gnojkiem. Kiedy znalazłem mieszkanie, bo nie chciałem dłużej tego znosić, matka wpadła w szał. Powiedziała, że jestem zbyt głupi, żeby sobie ze wszystkim samemu poradzić, a potem groziła, że pójdę do więzienia, jeżeli nie będę się nią opiekował. Wiedziałem, że to nieprawda, ale ona nagle zaczęła płakać i mówić, że potrzebuje mojej pomocy. No więc tu przychodziłem, ale wcale nie było lepiej. Ciągłe się ze mnie śmiała, czasem popychała albo kazała pić herbatę z mlekiem, a ja jej nienawidzę. A ta jej koleżanka była jeszcze gorsza. Kiedy dowiedziały się o Julii, powiedziały, że zrobią wszystko, żeby nas rozdzielić.

– Nie był pan nad morzem, nie w momencie zabójstwa – powiedziała Florentyna. – Czyj to był pomysł? Chociaż właściwie nie musi pan odpowiadać – dodała, spoglądając na Julię Kolak.

Kobieta wyprostowała się i odgarnęła włosy za ucho.

– Pomyślałam, że muszę go ratować. Że jestem jedyną osobą, która może mu pomóc. To wszystko już się stało, już nic nie można było zrobić. Zabrałam go stąd i pojechaliśmy do Sarbinowa. Zameldowaliśmy się w hotelu, a ja przy wypisywaniu dat pobytu, podałam wcześniejszy dzień. Recepcjonistka nie zauważyła błędu i tak to wprowadziła do komputera – przyznała cicho Julia.

– Wcześniej zaplanowała pani coś jeszcze. Poprosiła byłego męża, który wyszedł z więzienia, żeby przyjechał do willi i upozorował napad. Nie wiedział nic o zamordowanych kobietach, bo one już znajdowały się w piwnicy. Pani zależało tylko na tym, żeby zdemolował mieszkanie w taki sposób, żeby każdy od razu wiedział, iż chodziło o włamanie. Znał się na tym, w końcu siedział za rozboje. Nie pytał po co? Nie chciał za to żadnych pieniędzy?

– Chciał i dostał je. Obiecałam mu też, że może zamieszkać w pokoju, który wynajmowałam, a ja będę za to płacić. Chodziło tylko o to, żeby nikomu o niczym nie wspominał. Zgodził się, bo nie miał gdzie mieszkać, no i nie miał też żadnej kasy. Poza tym kiedyś obiecał, że wynagrodzi mi wszystko, co zrobił. Pomyślałam, że mogę z tej propozycji skorzystać.

– Jeden z techników powiedział mi, że morderca nie zostawił żadnych śladów, co również jest jakimś śladem. Pani mąż wiedział, jak je zatrzeć, jak poruszać się po mieszkaniu, żeby nie zostawić po sobie niczego, co mogłoby naprowadzić policję na jakiś trop. Pani przez kilka lat pracowała jako sprzątaczką, więc jeszcze dodatkowo dokładnie wszystko wypucowała i usunęła jakiegokolwiek ślady. Czepek na głowie, żeby nie spadł żaden włos, ochraniacze na filcowych butach, gumowe rękawiczki. Wie pani, co mnie dodatkowo zastanowiło, a wła-

ściwie techników? Zaplanowany chaos. Mieszkanie wyglądało, jakby przeszło przez nie tornado. Przesadziliście z tym. Wystarczyło zrzucić kilka rzeczy ze stołu i kilka ukraść. Zresztą sporo drogocennych przedmiotów, które należały do Zofii Peli, faktycznie zniknęło. To wy je zabraliście?

Julia skinęła głową.

– Wszystko znajduje się w mieszkaniu Franciszka. To naprawdę miało wyglądać na napad rabunkowy i pomyśleliśmy, że jeżeli usuniemy te przedmioty, to sprawa będzie jasna.

– Nie przewidziała pani jednak, że były mąż coś weźmie dla siebie. Długo nie wytrzymał i wczoraj wystawił figurkę „Grzybiarki” na sprzedaż. Zastanowiło mnie coś jeszcze – zwróciła się do Franciszka Peli. – Fakt, że nie chciał pan przyznać się, iż pasterkę z owieczką dostał pan od studenta Tomasza Kornackiego, którego przecież pan znał. A ja wiem, że pan ma bardzo dobrą pamięć i z całą pewnością kojarzył ten przedmiot.

Franciszek Pela podszedł do Florentyny, spojrział jej prosto w oczy i powiedział cicho:

– Ja już nie mogłem wytrzymać. Ja już po prostu nie mogłem wytrzymać.

To był piątek, godzina szesnasta trzydzieści siedem. Franciszek jak zwykle przyjechał odwiedzić matkę, która wcześniej do niego zadzwoniła i zaprosiła na obiad. Nawet się ucieszył. I pomyślał, że może miło spędzą ten dzień. Ale na miejscu znowu była ta baba.

Kordelia Czaplinska, która uczepliła się jego matki jak rzep psiego ogona. Franciszek doskonale wiedział, że babsko poluje na majątek, który znajdował się w tym domu, ale matka nie chciała słuchać jego ostrzeżeń.

– Jesteś nienormalny. Melepety, głupi jak but z lewej nogi. Nie wypowiadaj się na tematy, o których nie masz pojęcia.

Kiedy pojawił się w swoim rodzinnym domu, matka od progu oznajmiła mu, że Kordelia widziała go ostatnio na ulicy, jak obściskował się z tą dziwką.

– Nie mów tak – zaprotestował Franciszek.

Matka spojrzała na niego z pogardą.

– Nie ma nic gorszego niż idiota, który obnosi się ze swoim uczuciem. Co ty chcesz i możesz jej zaoferować? Swój żenujący poziom inteligencji? Jesteś zwykłą ciemną, ograniczonym przyglupem, któremu wydaje się, że może żyć normalnie. Całe życie musiałam się za ciebie wstydzić, ja, nauczycielka. Kobieta odczytana, wykształcona, inteligentna. Całe życie musiałam stawiać czoła temu, że urodziłam idiotę.

Franciszek spuścił głowę. Nie lubił, kiedy matka tak do niego mówiła, a już tym bardziej nie lubił, kiedy atakowała Julię, jedyną osobę, która była dla niego miłą, która go nie obrażała i która nigdy się z niego nie wyśmiewała.

– Ta kurwa nie robi nic innego, tylko czai się na wasze pieniądze – odezwała się nagle Kordelia Czaplińska.

Franciszek zacisnął pięści.

– Zamknij się! – krzyknął w stronę Kordelii, na co obie kobiety zareagowały śmiechem.

– Jak ty się odzywasz? Nie dość, że jesteś matolem, to jeszcze ostatnim chamidłem – Zofia parsknęła lekceważąco.

Nienawidziła swojego syna. Nienawidziła go za to, że przez jego chorobę zostawił ją jej mąż. Nienawidziła go za to, że została samotną matką, na którą wszyscy patrzyli z pogardą, bo urodziła matola. Na zewnątrz nikt nie miał pojęcia o ich prawdziwych relacjach. Kiedy razem wychodzili na spacer, trzymała go za rękę, udawała troskliwą i mówiła o nim w samych dobrych słowach. To z kolei powodowało, że Franciszek natychmiast wybaczał jej wszystkie złe rzeczy. Bo myślał, że teraz mówi prawdę. Że jednak go kocha. Po prostu czasami nie radzi sobie z tym wszystkim. Ale kiedy wracali do domu, matka natychmiast przestawała się uśmiechać i być miła. Kiedy był młodszy, biła go. Celowo niszczyła jego zabawki, a potem śmiała się, kiedy płakał. Odrywała nogi i ręce ukochanym misiom, króliczkom i lalkom. Kazała mu nosić różowe ubrania, żeby wszyscy się z niego śmiali. Kiedy sikał w majtki ze strachu, kazała mu nosić brudne pieluchy, aż sam nie mógł dłużej znieść ich smrodu. To zdarzało się nawet wtedy, kiedy był już dorosły. Wstydził się tego. Kiedy odczuwał strach, popuszczał. Nie mógł nad tym zapanować, chociaż Julia przekonywała go, że to nic takiego. I że to minie.

Na szczęście z czasem zabrakło matce sił na bolesne ciosy. Tyle że to, co mówiła i jak się zachowywała, było jeszcze bardziej okrutne. Nie mógł uwierzyć, że czulej rozmawiała z bezdomnymi kotami. Dopóki jednak dotyczyło to jego samego, mógł to jeszcze jakoś znieść. Ale nie mógł pozwolić, żeby obie zaczęły obrażać Julię albo żeby faktycznie doprowadziły do tego, że przestanie się z nim spotykać.

– Zostawcie Julię w spokoju – powiedział proszącym tonem. Coraz mocniej zaczynała boleć go głowa.

Kordelia wybuchnęła tym swoim ohydny śmiechem, a potem dotknęła go palcem.

– A co? Dała ci już? Spodobało ci się, co, przygłupie?

Z kolei matka tylko wzruszyła ramionami.

– Daj spokój, on pewnie nawet nie wie, jak się do tego zabrać. Taka niedorajda życiowa nie ma pojęcia o tym, jak dogodzić kobiecie.

– Jej to nie przeszkadza, bo czyha na forszę – powiedziała Kordelia.

– Spokojnie, pozbędziemy się jej, a ty, ciemięgo, wrócisz w końcu do domu i przestaniesz udawać, że dajesz sobie radę sam. Jesteś tępy jak noga stołowa, więc powinieneś przynajmniej słuchać innych.

Franciszek poczuł, jak nagle narasta w nim wściekłość. Czegoś takiego nigdy wcześniej nie miał. Czasem odczuwał ból, smutek, czasem gniew, ale te emocje szybko z niego wyparowywały. Teraz było jednak inaczej. Ta wściekłość się nasiłała, przechodziła z żołądka w stronę głowy, coraz wyżej i wyżej, i powodowała, że słyszał tylko jakieś szумы, jakby wzburzonego morza. Sam nie wiedział, jak do tego doszło, ale w pewnym momencie zaczął okładać pięściami swoją matkę, a kiedy Czaplínska próbowała go odepchnąć, zadał jej silny cios, po którym upadła na podłogę. W jakimś niezrozumiałym dla niego samego szale pobiegł do piwnicy po młotek i śrubokręt, a potem zaczął nimi uderzać leżące na ziemi kobiety.

Na przemian.

Młotkiem i śrubokrętem. Zwłaszcza matce chciał zadać jak najwięcej ran. Następnie przeciągnął ciała w stronę schodów do piwnicy i zrzucił je w dół. A potem zamknął drzwi.

Usiadł na podłodze i spędził tak piętnaście minut, aż w końcu dotarło do niego, co zrobił. Ale nie czuł wyrzutów sumienia, tylko jakiś spokój, że już nikt nigdy nie nazwie go łamagą, durniem ani ciećwierzem. Najgorsze były właśnie te słowa, których nie rozumiał. Sprawdzał je potem w słowniku i za każdym razem czuł się jeszcze gorzej. Matka знаła całą masę synonimów, którymi go obrzucała.

Wybrał numer telefonu Julii i wszystko jej opowiedział.

– Muszę pójść na policję.

– Nie – zaprotestowała natychmiast kobieta. – Nie. Ja wiem, że to było w obronie własnej, bez względu na to, jak to brzmi. Przyjadę po ciebie i wszystkim się zajmujemy.

Julia Kolak rzeczywiście wysprzątała dom w taki sposób, że ktokolwiek by do niego wszedł, nawet przez ułamek sekundy nie mógłby podejrzewać, że jeszcze chwilę temu rozegrała się tutaj tragedia. Do piwnicy nie chciała zaglądać, bała się widoku trupów. Przekręciła zamek na klucz. A potem zadzwoniła do swojego byłego męża i poprosiła go o obiecaną przysługę.

– Masz tylko splądrować ten dom, zrobić dokładnie tak, jak robią złodzieje, kiedy czegoś szukają.

– W coś ty się wpakowała? – zdumiał się Bogdan.

– Jeżeli nie będziesz o nic pytał, obiecuję ci, że dostaniesz pokój, w którym teraz mieszkam, a ja będę go opłacać.

– Dobra, ale dodatkowo chcę jeszcze dwa patyki.

Zgodziła się, chociaż wiedziała, że te pieniądze będzie musiała dostać od Franciszka. Kiedy Bogdan opuścił willę, spakowała sporo cennych przedmiotów do torby i razem z Franciszkiem przewieźli je do jego mieszkania. A stamtąd pojechali prosto nad morze. To tam zadecydowała, że wrócą po dwóch dniach

i dopiero wtedy Franciszek zgłosi morderstwo. Powie, że nie mógł skontaktować się z matką i dlatego wrócił wcześniej z wakacji.

– Czy przyznaje się pan do tego, że zamordował swoją matkę Zofię Pelę oraz jej przyjaciółkę Kordelię Czaplińską? – spytała teraz Florentyna.

Franciszek Pela kilkakrotnie pokiwał głową.

– Zabiłem. I wiem, że muszę pójść do więzienia. Teraz założy mi pani kajdanki, prawda? – Podniósł na nią swoje niebieskie oczy.

Florentyna westchnęła. Nie wszystkie morderstwa były do siebie podobne, nie wszystkie należało tak samo oceniać. Ale w każdym przypadku ktoś odbierał komuś innemu życie, a to musiało zostać ukarane. Nawet jeśli w tym przypadku to Franciszek Pela zdawał się być największym poszkodowanym.

Franciszek Pela został aresztowany pod zarzutem zabójstwa na podstawie art. 148 kk – Kto zabija człowieka, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 8, karze 25 lat pozbawienia wolności albo karze dożywotniego pozbawienia wolności.

Julia Kolak została zatrzymana na podstawie art. 240 kk – Kto mając wiarygodną wiadomość o przestępstwie (jego karalnym planowaniu, usiłowaniu czy dokonaniu), nie zawiadamia o tym niezwłocznie organów ścigania, podlega karze pozbawienia wolności do lat trzech.

Podobna historia wydarzyła się naprawdę. Wiele szczegółów dotyczących miejsc, osób oraz zdarzeń zostało zmienionych, wiele jest fikcją wymyśloną na potrzeby fabuły. Nazwiska osób występujących w powieści także są fikcyjne, a ich ewentualna zbieżność jest przypadkowa.

EPILOG

Florian Mączyński sięgnął po telefon i wybrał numer Florentyny.

– O, dobrze, że dzwonicz, bo martwi mnie Lula. Wszystko z nią okej?

– Najadła się czekolady. Okazało się, że to wstrząs spowodowany nadmiarem cukru. Ale dostała zastrzyk i już jest dobrze.

– Biedna... – Florentyna nagle urwała, bo wydawało jej się, że głos prokuratora brzmi jakoś dziwnie. – Co jest? – spytała odrobinę zaniepokojona.

– Chodzi o Polę Marczewską.

Florentyna poczuła, jak robi jej się zimno. Niemal lodowato.

– Co z nią?

– Popelniła samobójstwo.

Bora musiała chwycić się biurka, w przeciwnym razie runęłaby na podłogę.

– Jezu... – wyszeptała tylko. – Jak?

– Powieszenie. Ale jest coś jeszcze...

Florentyna zamknęła oczy.

– Wiedziałaś, że ona ma córkę? Dziewczynka ma półtora roku...

K O N I E C



fot. Najka Photography

Natasza Socha – dziennikarka, felietonistka, a dziś przede wszystkim autorka bestsellerowych powieści. Pochodzi z Poznania, ale mieszka w małej miejscowości pod Akwizgranem, gdzie na pełen etat wychowuje syna i córkę, a na pół etatu pisze książki, które od lat podbijają serca czytelniczek. Bystra obserwatorka o niebanalnej osobowości i nieco sarkastycznym poczuciu humoru, którym zaraża swoje bohaterki. *Troje na huśtawce*, *Mgły Toskanii*, *Pokój kołysanek* oraz saga *(Nie)miłość*, *(Nie)piękność*, *(Nie)młodość* czy seria *Zamrożona*, *Zagubieni*, *Zaczarowane* to literatura kobieca najwyższej próby, która zniesie konkurencję takich autorek jak Fannie Flagg czy Jojo Moyes. Ostatnio próbuje swoich sił w nowym gatunku. W kryminalnej serii *Grey Book* ukazały się dotychczas: *Przerwana kołysanka*, *Piętno*, *Echo*, *Ciećwierz* oraz *Puszka Pandory*.